№ 37 Warszawa, dnia 1 (13) Września roku 1879.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

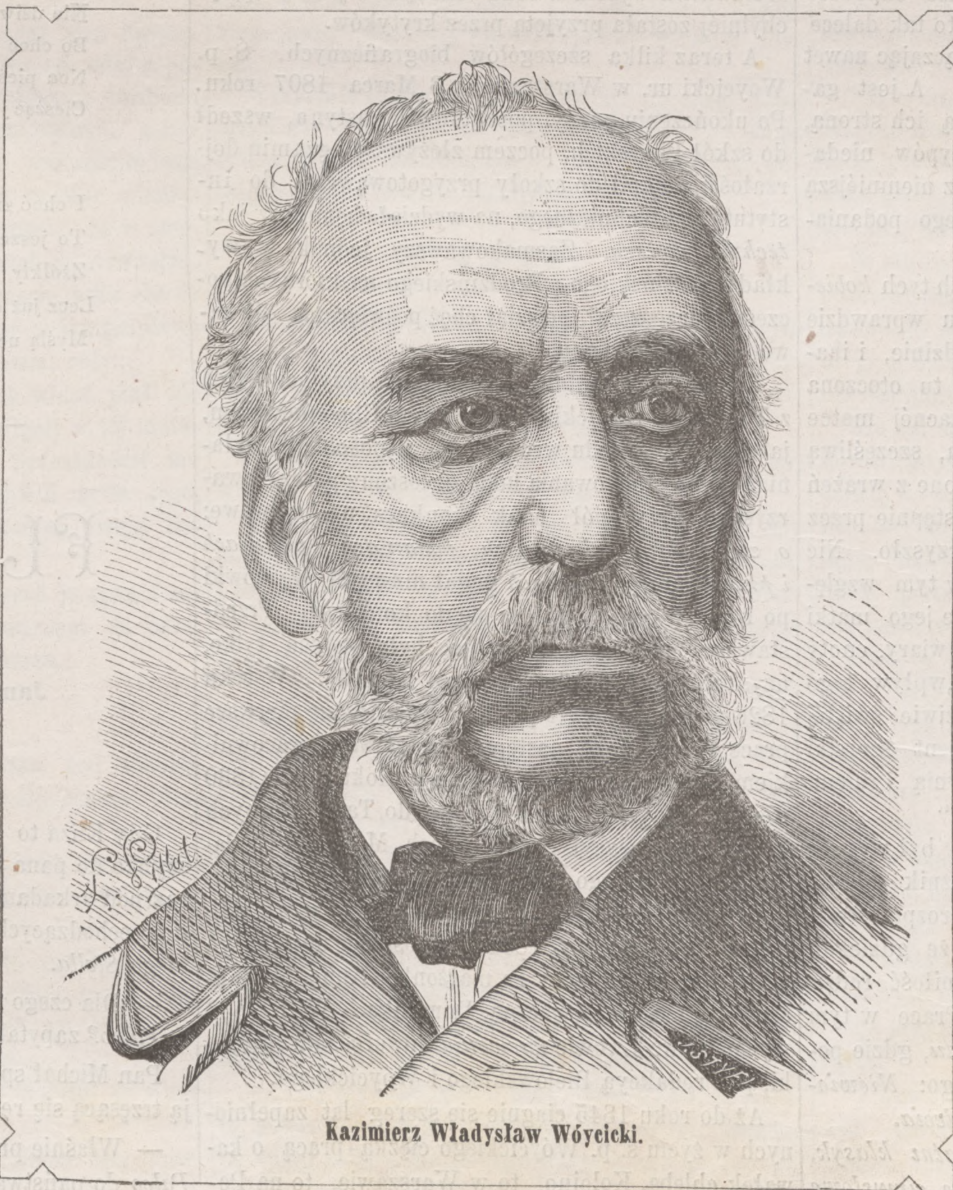
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Kazimierz Władysław Wóycicki.

Zasługa pracowników pióra, która często staje się jedyną nagrodą pełnego cierni i trudów żywota, dwojaką ma postać; opiera się ona bowiem albo na znakomitéj artystycznéj lub naukowéj wartości ich pracy, albo też na jéj kierunku, duchu i charakterze; w pierwszym wypadku zasługa ta mieć będzie cechę przeważnie literacką, w drugim obywatelską. Zdarza się wprawdzie, że dwa te charaktery pracy autorskiéj łączą się w jedno, częściéj jednak bywa przeciwnie i wtedy do sądu potomnych należy, mówiąc o pracowniku który zawód swój zakończył, rozważyć jakość jego zasługi i prawo do czci pokoleń następnych.

Mamy mówić właśnie o jednym z takich pisarzy, w których działalności dwa powyżéj przez nas określone charaktery nie równoważą się nawzajem, i gdyby poprzestać miano na ocenieniu jednéj tylko strony ich pracy, musiano być przyjść do niedoskonałego, jednostronnego ocenienia zasługi.

Kazimierz Władysław Wóycicki jako pisarz, nie pozostawił po sobie dzieł odznaczających się oryginalnością, twórczością lub też głęboką erudycyą. Dziełom jego niejednokrotnie zarzucała krytyka nieuprzedzona, brak wykończenia, pośpiech, liczne pochodzące ztąd błędy



Kazimierz Władysław Wóycicki.

i niedokładności, niemasz pomiędzy niemi ani jednego, na któreby wskazać można bez zająknienia, jako na podstawę sławy autorskiéj i na tytuł do wielkiéj zasługi, jeżelibyśmy patrzyli jedynie na wartość pisma jego literacką.

I ztąd to właśnie pochodzi, że niektórzy ceniąc w ś. p. Wóycickim tylko ruchliwą i wielostronną działalność na polu piśmiennictwa naszego, nie widzą jednak w niéj jeszcze dostatecznego prawa jakie zmarły niewątpliwie pozyskał do dobréj i trwałéj pamięci oraz zajęcia w dziejach piśmiennictwa naszego wcale pięknéj, chociaż drugorzędnéj tylko karty.

A jednak w przeciągu przeszło półwiekowego zawodu literackiego, ś. p. Wóycicki zdołał sobie pozyskać cześć i poważanie naszego ogółu i bardzo znaczną popularność. Bo też ogół ten cenił go nie za wartość i skończoność jego prac lecz za ich poczciwy, szczerze swojski charakter, za ich dążność zawsze zacną i szlachetną, za wiejącą z każdéj jego pracy miłość kraju, ludu i ziemi. Widziano Wóycickiego krzątającego się na niwie literackiéj, wtedy gdy ona odłogiem jeszcze prawie leżała, widziano go, jak jeden z pierwszych zbierał on chętnie klechdy i podania ludowe, jak sięgał w przeszłość dla wydobycia z niéj miłych sercu pamiątek, jak z kurzów zapomnienia wygrzebywał materyały do poznania przeszłości

lub sięgał nawet do grobów, by żyjącym przypomnieć tych, którzy się w nich na wieczny sen pokładli po pełnym trudów i zasług życiu.

Żeby się przekonać, że cała działalność piśmiennicza Wóycickiego tchnęła chęcią rozbudzenia i podtrzymywania miłości rzeczy ojczystych, dość rzucić okiem na pomniki téj działalności.

Największym z nich jest bez wątpienia *Biblioteka Warszawska*, któréj był jednym z założycieli i przez lat trzydzieści ośm najczynniejszym współpracownikiem, Biblioteka, która do bardzo niedawnych czasów była jedynem pismem w Warszawie, w którem ogniskowały się najcelniejsze siły piśmiennicze. Gdyby zebrać to tylko co Woycicki w niéj napisał, przedstawiłby się nam imponujący liczbą zbiór artykułów treści najrozmaitszéj, ale połączonych zawsze jedną myślą i ożywionych jednem uczuciem. Tego rodzaju praca przypomina ową kroplę nieustannie spadającą na kamień, która go wyżłabia nie siłą ale wytrwaniem, *non vi sed saepe cadendo*...

Podobnym jak i Biblioteka duchem przeniknione zostały *Kłosy*, do których założenia ś. p. Wóycicki się przyczynił i przez lat 14 był jednym z redaktorów.

Tygodnik Illustrowany, w którym zmarły stale od r. 1859 do 1866 pracował, przedstawia również nie mały materyał do ocenienia zasługi i zrozumienia charakteru pracy ś. p. Woycickiego. Czy to artykuł własny, czy powtórzenie klechdy ludowéj, czy wreszcie wprost z kronik wyjęte wspomnienie historyczne, wszystko to połączone z sobą tą samą nicią złotą, którą była u Wóycickiego miłość przeszłości wspomnień rodzinnych i pamiątek.

A jeżeli szło o otoczenie nicią tą szerokiego koła czytelników, to żadna forma nie nadawała się do tego tyle jak *Gawęda*. Nie pretensyonalna, często niezbyt strojna a nawet i zaniedbana gawęda, stała się pod piórem Wóycickiego formą bardzo odpowiednią rodzajowi jego wiedzy i pracy, a to tak dalece że wszystko cokolwiek napisał, nie wyłączając nawet literatury, jest utrzymane w tym tonie. A jest gawęd tych osobliwością i bardzo dodatnią ich stroną, że obok malowanych, con amore scen i typów niedawnéj przeszłości, typów szlacheckich, z niemniéjszą miłością maluje się tam i lud nasz, z jego podaniami, wierzeniami i zwyczajami.

Nie mniejszą téż rolę gra w gawędach tych *kobieta*, a pojmował ją Wóycicki po staremu wprawdzie ale po bożemu. Przedstawia ją w rodzinie, i inaczéj nie rozumie jéj bytu; kobieta jest tu otoczona czcią i poważaniem przynależnem zacnéj matce i żonie, jest panią domowego ogniska, szczęśliwą i uszczęśliwiającą. Pojęcie to, wyniesione z wrażeń wychowania, utwierdziło się jeszcze następnie przez wpływ otoczenia w którem żyć mu przyszło. Nic tak niewątpliwie nie wpływa na sąd w tym względzie pisarza, jak oddziaływanie osobiste jego matki i żony. Matka Woycickiego uczyła go wiary, cnoty i miłości, a o żonie oto co sam pisał: „wpływ tego anioła dobroci i łagodności, téj prawdziwie świętéj niewiasty, zmiękczył mój temperament szorstki i prędki, ona uczyniła mi dom świątynią i rajem, gdzie żyjó w całéj pełni życie rodzinne.“

Nie dziw więc, że Weycicki przejęty był wysoką czcią dla kobiety, że widział w niéj łącznik między przeszłością i przyszłością, lecz że nad rozprzestrzenieniem tych pojęć pracował usilnie, że gdziekolwiek mógł wzaz z miłością tradycyi i miłość rodziny krzewił, to jego wielka zasługa. Prace w tym rodzaju pomieszczał głównie w *Bluszczu*, gdzie pojawiła się i jedna z najlepszych prac jego: *Niewiasta Polska w początkach bieżącego stulecia.*

Warszawa i jéj społeczność, Ostatni klasyk, Kawa literacka, Warszawa, jéj życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu, oto gawędy z osobistych wspomnień, w których Wóycicki powtarzał się wprawdzie nie raz, ale które bądź co bądź pozostaną dla potomności bardzo miłą i ciekawą pamiątką. Dziełem od tych poważniejszém i nierównie wyższéj wartości jest *Cmętarz Powązkowski*, rzecz w swoim rodzaju jedyna i jako materyał bardzo pożyteczna. Sam Wóycicki miał je za najcelniejsze z dzieł swoich, i istotnie stoi ona pod względem wartości obok *Klechd* i najwcześniejszego z dzieł jego, bo wydanego w r. 1830: *Przysłowia narodowe.*

Do zasług należy również wydanie licznych pamiętników, szczególniéj zaś *Biblioteka starożytnych pisarzy polskich*. Błędy i niedokładności tych wydań nie odbierają wydawcy prawa do wdzięczności ogółu.

Ś. p. Wóycicki robił co mógł w chęci służenia krajowi, a i to mu trzeba na chwałę jego przyznać, że nie dorównywując niekiedy innym pracownikom talentem czy téż nauką, umiał jedno i drugie ocenić i uszanować i zawiścią nie kierował się nigdy. Liczny zastęp młodych pisarzy miał w nim życzliwego doradcę i przyjaciela, wielu zachęcie jego i poparciu moralnemu zawdzięcza, że się wzięło do pióra. Piszący te słowa przechowuje również we wdzięcznéj pamięci wyrazy serdecznéj zachęty którémi obdarzony bywał przez zmarłego.

Aby dokończyć cośmy mówili o różnostronnéj pracy ś. p. Wóycickiego, dodać musimy, że po dwakroć pisał *Historyę literatury Polskiéj*, (drugi raz niezadługo przed śmiercią w skutek czego książka ta p. t. *Historya literatury w zarysach*, wyszła nakładem Kowalskiego, r. 1879, nosi na sobie już znamię roztroju i dobrym przewodnikiem dla młodzieży być nie może). Oprócz tego, wydał kilka książeczek dla młodzieży, z których najlepsza *Pokój Dziadunia* wyszła w roku zeszłym i jak najprzychylniéj została przyjętą przez krytyków.

A teraz kilka szczegółów biograficznych. Ś. p. Woycicki ur. w Warszawie d. 3 Marca 1807 roku. Po ukończeniu pensyi początkowéj Austyna, wszedł do szkół Pijarskich, poczem złożywszy egzamin dojrzałości wstąpił do szkoły przygotowawczéj do instytutu politechnicznego, na wydział chemiczny jako *technik wyższy*. Zasmakowawszy jednak w wykładach Osińskiego i Brodzińskiego na które jednocześnie uczęszczał, powziął chęć poświęcenia się zawodowi literackiemu.

Ponieważ w skutek stosunków przyjacielskich z Tomaszem Święckim i Maryanem Chodakowskim, jako też i z powodu wrodzonego usposobienia skłaniał się do studyowania ludu, ogłoszony przez Towarzystwo Przyjaciół nauk konkurs na rozprawę: *o zwyczajach, obyczajach, podaniach, pieśniach i przysłowiach ludowych* podał mu myśl wędrówki po kraju w celu stawienia się do konkursu. Przedstawiona rozprawa, ponieważ była jedyną tylko, uzyskała sąd pochlebny zamiast nagrody. W roku 1826 w gazecie *Korespondent* ukazały się pierwsze prace Wóycickiego, następnie został współpracownikiem *Dziennika Warszawskiego*. Roku 1829 i 1830 wędruje Wóycicki przez Kraków do Tatr, Górnych Węgier, Chorwacyi, Serbii, Czech, Mołdawii i Szlązka Austryjackiego. Po powrocie walczy w szeregach armii krajowéj i otrzymuje krzyż *Virtuti Militari*. Jesienią w r. 1831 przenosi się do Galicyi, gdzie w r. 1832 bierze za małżonkę Annę Magnuszewską, siostrę stryjeczną Dominika. W r. 1833 wychodzi we Lwowie *Ziewonia* noworocznik literacki, pod redakcyą Bielowskiego i Wóycickiego.

Aż do roku 1845 ciągnie się szereg lat zapełnionych w życiu ś. p. Wóycickiego ciężką pracą o kawałek chleba. Kolejno, to w Warszawie, to na Podlasiu, gospodarząc, rządząc cegielnią Banku Polskiego, dając lekcye prywatne, nie opuszcza on ani na chwilę ulubionéj swéj pracy. W r. 1857 wydane zostały *Klechdy*. W r. 1845 mianowano ich autora głównym archiwistą i bibliotekarzem Senatu, a następnie dyrektorem drukarni, powierzając mu też redakcyę Dziennika praw.

W r. 1850 został redaktorem *Biblioteki Warszawskiéj* (o udziale w założeniu jéj w 1841 mówiliśmy wyżéj). We dwanaście lat późniéj, straciwszy posadę archiwisty, został obrany prezesem komitetu listów zastawnych przy Towarzystwie Kredytowém Ziemskiem, (na któréj to posadzie pozostał aż do zgonu) i jednocześnie wydano księgę zbiorową na rzecz zasłużonego pisarza.

Trzy lata temu, w r. 1876 obchodzono w Warszawie uroczyście jubileusz półwiekowéj pracy ś. p. Wóycickiego i wydano ponownie wyczerpane już w handlu księgarskim *Klechdy*. Ci sami którzy wówczas składali czcigodnemu jubilatowi hołd czci i wdzięczności, poszli w d. 1 sierpnia roku bieżącego oddać mu posługę ostatnią, złożyć zwłoki jego w ziemi tegoż *Cmętarza Powązkowskiego*, który został przez niego tak pięknie opisany.

Tak się zamknęło życie pracowitego i zacnego człowieka, aż do ostatniéj chwili czynne i przeniknione miłością dobra powszechnego.

Cześć niezmordowanéj pracy, wytrwałości, zacnym dążeniom, cześć pamięci dobrego obywatela!

Stanisław Grudziński.

SERCE.

Patrząc za cudnéj wiosny kwiatami,
Nie dziw, że serce bije z pośpiechem,
Bo choć dzień oko zaprószy łzami.
Noc pieści biédne złudnym uśmiechem,
Ciesząc je życia błogiemi snami
Łaskawie...

I choć znów sny te zagasi ranek
To jeszcze, jeszcze bije z pośpiechem
Zżółkły zielenią oplata wianek,
Lecz już o śmierci marzy z uśmiechem;
Myślą uchyla grobu firanek
Ciekawie!...

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Gdy Eliza to wyrażenie usłyszała, zwróciła się szybko do pana Michała. Przypomniała sobie, że raz pod arkadami pałacu królewskiego nazwał ktoś z przechodzących tym samym przydomkiem hrabiego *Stella*.

— Dla czego nazwałeś pan hrabiego *Stella* hrabią *di Palco*? zapytała szybko.

Pan Michał spojrzał na młodą kobietę, musnął ją trzęsącą się ręką po białéj szyi i odparł:

— Właśnie przychodzę w interesie hrabiego *di Palco* do państwa, bo dowiedziałem się, że pani Eli-

za rozpięła już motyle swoje skrzydełka, aby z tym hrabią frunąć.

— Cóż pan wiesz o nim?

— Znam go dobrze. Pochodzi on z dawnéj szlachty weneckiéj; tytuł i nazwisko, które nosi, należy mu się rzeczywiście, ma nawet bogatych krewnych... ale nie ma żadnego majątku. Jedynym jego funduszem jest, jedna loża w teatrze *Fenice*. *Falco*!

— Loża w teatrze *Fenice*?

— Teatr *Fenice* jest własnością towarzystwa, które za procent włożonego kapitału rozebrało między siebie loże teatru. Dla tego w teatrze *Fenice* żadnéj loży nigdy nie ma na sprzedaż po pewnéj cenie, tylko właściciele teatru odstępują je publiczności po cenach jakie wytargować można. Czasem rano zacenią za jedną lożę trzysta franków, a wieczorem sprzedadzą za dziesięć.

— O tem wiemy.

— Otóż po swoich antenatach w spadkobierstwie odziedziczył taką lożę wieczystą hrabia Stella i ona jedynym jest jego dochodem. Jeżeli komu ją na wieczór sprzeda i co za nią wytarguje, to stanowi jedyne jego utrzymanie. Dla tego nazwano go żartobliwie *conte di Palco*.

Eliza zamyśliła się. Maryan spojrzał na nią z uśmiechem.

— Otóż ten *conte di Palco* spotkał się ze mną wczoraj, mówił daléj pan Michał, i zaczął się wypytywać o wasz majątek. Poznałem z jego mowy że spodziewa się milionów i z tego powodu chce się starać o rękę pani Elizy. Otóż aby wam niepotrzebnéj decepcyi oszczędzić, powiedziałem mu wręcz, że majątek wasz w stanie biernym, bo bierze a nie daje... i widziałem że to sprawiło na nim pewne wrażenie.

— Właśnie w téj chwili oświadczył się, ozwała się ze spuszczonemi oczyma Eliza, ale odmówiłam mu.

— Nie byliśmy wcale za tem, dodał pan Salezy.

— Bardzo dobrze zrobiliście. Nic nie miał a polował na pieniądze. Podobnym włoskim hrabiom i książętom udaje się często takie polowanie... a nawet ze smutkiem trzeba wyznać, że najczęściéj tego włoskiego polowania padają ofiarą polskie pieniądze. Nie jedna parafialna gąska myśli, że w swojéj parafii wszystkich tem zabije jeżeli się dowiedzą, że za granicą wyszła za mąż za księcia *della Barca* lub hrabiego *della Gondola*... Takie to już głupstwo nasze, a z tego głupstwa zna nas świat cały...

Pan Michał, który na starość jak widać stał się moralizatorem, chciał jeszcze coś więcéj w téj materyi mówić, ale szkaradny goniec przeszkodził mu właśnie w téj najpiękniejszéj chwili życia jego, w któréj rzeczywiście przez interwencyą swoją coś dobrego zrobił.

Chwycił się za kolano i zaczął trzéć je ręką z całych sił, a Eliza obróciła się tymczasem do okna i zaczęła przypatrywać się falom morza...

. . . .

. . . .

I na tem kończy się powieść polska pod niebem weneckiem. Resztę faktów, które się jeszcze tutaj dokonać miały, łatwo odgadnąć.

Za trzy dni łódź pogrzebowa zaniosła zwłoki staruszki na wyspę św. Michała i tam złożyła je na wieczny śród fal odpoczynek.

A za dwa tygodnie lotna i wesoła gondola stała w pogotowiu u marmurowych schodów hotelu, aby młodą parę, która właśnie z kościoła św. Mojżesza, wychodzi, zawieźć na dworzec kolei...

Przy wsiadaniu do gondoli rzekł Maryan do Elizy która była smutna i zamyślona:

— Gdy się wiosna ustali, oczekujemy was wszystkich w Tuliwodach.

— Przyjedźcie jak najprędzéj, dodała Flaminia.

Eliza pomyślała chwilę a potem odparła:

— W dzisiejszem waszem położeniu nie chcę być dla was ciężarem...

— Cóż z sobą zrobisz? zapytał Maryan.

— Wezmę sobie *dame de compagnie* i pojadę trochę do wód.

Maryan uśmiechnął się.

— Skromny kącik znajdziesz zawsze u mnie, odrzekł z serdecznym uściskiem.

— A w mojem sercu jedno z pierwszych miejsc, dodała również z uściskiem Flaminia.

Z rodzicami już się byli pożegnali na górze, a teraz odpłynęła gondola na wodę.

Eliza stała w progu i długo patrzała na malejącą co raz więcéj gondolę, a z okien pierwszego piętra powiewały dwie chustki, pana Salezego i pani Apolonii.

* * *

A teraz żegnaj czytelniku owe czarodziejskie widoki morskiego miasta, które dla polskiéj naszéj rodziny stanowiło tło tak urocze, tak poetyczne... Zostaną już za nami na zawsze owe pyszne posągi i kolumny marmurowe, owe kościoły i pałace z głębi morza wyrastające i falami wodnemi do koła oblane... owe arcydzieła pierwszych mistrzów sztuki... owe karty z marmuru i płótna tysiąc letnich dziejów Rzeczy pospolitéj... owe wytworne hotele z książęcych dawnych pałaców przerabiane, w których Kararyjski marmur prowadzi nas aż na czwarte piętra, a bogatą rzeźbą ozdobione i złocone przedsionki przypominają owe fantastyczne pałace cesarzy rzymskich... wszystko to zostanie już na zawsze za nami...

Na takiem tle życie odbija się jakoś inaczéj, uczucia rosną w sercu jak najpiękniejsze kwiaty egzotyczne, a fale czasu płynące z harmonijnym dźwiękiem jakby tylko były strofami jednéj wielkiéj pieśni...

Wszystkie te barwy czarodziejskie zagasną teraz przed nami; pod szarem, jednostajnem niebem ziemi podkarpackiéj, na ubogiem tle niw rodzinnych dobiegnie nasza powieść ostatecznie do końca.

XXXV.

Dwa miesiące minęło od tego czasu. W starym dworze Tuliwód na pozór nic się nie zmieniło. Wszystko było po dawnemu. Nigdzie prawie nie było widać że młoda gospodyni przybyła do domu.

Przejeżdżający drogą koło dworu nie wierzyli nawet aby Maryan rzeczywiście się ożenił.

— Jakto, pytał się jeden, czyż to może być, aby się człowiek żenił i domu swego jakoś nie przerobił i nie odświeżył? Któż w starą styraną odzież ubiera się na gody? któż prosi do siebie gości, aby przynajmniéj dziedzińca nie zamieść?

— To prawda, mówił drugi, przecież jest u nas zwyczaj pod klątwą śmieszności, że każdy nowożeniec musi się świeżo i nowo ekwipować. Pan Maryan powinien wszystkie stare pradziadowskie meble na strych wyrzucić a z Wiednia nowe wprowadzić, powinien był przynajmniéj, jeden pawilon do dworu przybudować i facyatę z ciosanych kamieni wystawić. Szyby pogięte powinien był potłuc a z Czech sprowadzić szkło rznięte jak to uczynił pan Floryan, gdy żonę do domu wprowadzał. Tak się przecież nikt nie żeni. To być nie może, pan Maryan się nie ożenił. To prosta mistyfikacya.

— Czy słychać było o tem, pytał trzeci, że karetę, powóz i faeton z Wiednia sprowadził? Zkądże on wziął sobie żonę że tego wszystkiego nie żądała? Gdzież się ona chowała? Albo konie. Czy kto widział aby konie kupował cugowe i wierzchowe? Przecież pan Dyzma złamanego szeląga nie miał w kieszeni kiedy się żenił, a długów co niemiara, a przecież do ożenku kupił sześć koni cugowych i dwa wierzchowce czystéj krwi arabskiéj... wprawdzie za pół roku zafantował to wszystko Lajka Silbever i sprzedał na publicznéj licytacyi, ale zawsze choć miodowe miesiące odbyły się z szykiem.

— Et, daj mu pokój, mówił czwarty, biedak oszukał się. Myślał że weźmie wielki majątek, a tu tymczasem dostał figę. Cóż ma biedak robić. Takie to najczęściéj małżeństwa za granicą zawierane. Albo jest ładny towar a brakuje pieniędzy, albo są pieniądze a towar ma za to skazy...

— Dla tego nie ma się co dziwić, że uszy opuścił. Nic nawet nie zrestaurował. Płoty jeszcze od pożaru popalone...

— Za co będzie restaurował, jeżeli tam z wszystkiem krucho. Mówią, że już się kręcą koło dworu grabarze...

— Ha, ha, ha. Grabarze. To prawda. Jeżeli szlachcic jaki na wsi dochodzi, do ruiny to już z daleka widać w koło dworu grabarzy... O! znamy tych grabarzy.

Tak mówili ci którzy koło dworu w Tuliwodach przejeżdżali, tak mówili prawie w całem sąsiedztwie.

A były nawet pewne powody do takiéj opinii, dwór bowiem w Tuliwodach wyglądał bardzo smutno, smutniéj jeszcze teraz niżeli przed pożarem.

W koło niego leżały gruzy spalonych budynków. Czarny olbrzymi komin pozostały z gorzelni wyglądał jak obelisk egipski śród ruin zasypanego piaskiem miasta... Po drugiéj stronie znowu leżała kupa niedopalonego drzewa ze szpichlerza, a po za nim czerniły się węgły okopconych zrębów pozostałych ze stodół i stajen. Prócz tego na około tego zgorzeliska były opalone drzewa, płoty i krzaki, a nawet gdzieniegdzie wypaliła się trawa zostawiając po sobie czerwone szerokie plamy...

Takie miał najbliższe widoki dwór w Tuliwodach. Maryan nie mógł jeszcze tego wszystkiego usunąć, bo najprzód nie było na to czasu, a powtóre brakowało do tego pieniędzy. Musiał więc to wszystko zostawić do lepszego czasu, do lepszéj nadziei.

W takim samym stanie, z tych samych powodów pozostał także i dwór stary. W ostatnich czasach dawno już nie przedsiewzięto w nim żadnych restauracyj, a dzisiaj to zaniedbanie przy takiem otoczeniu odbijało jeszcze jaskrawiéj...

Nie ma smutniejszego widoku nad widok budynków niegdyś z pewną pańską pretensyą wzniesionych dzisiaj do upadku się chylących... Widok taki jest podobny do świetnéj niegdyś a dziś wytartéj i połatanéj odzieży żebraka miejskiego... Chłopska, podarta opończa dziada odpustowego jakoś znośniejszą jest dla oka...

Dwór w Tuliwodach miał niegdyś pańskie pretensye. Były tam różne przyczepki i ornamenta, były dachy i daszki z wyskakującemi rynnami, były nawet schody komienne i kolumny naśladujące kamień piaskowy... ale wszystko to rozwalało się dzisiaj i krzywiło, jakby lada chwila chciało się w kupę gruzów zamienić.

I tutaj nie mógł Maryan nic zrobić. Lepić i podpierać nie było co, a restauracya gruntowniejsza przechodziła siły dzisiejszego dziedzica. Trzeba więc było i tutaj spuścić się na łaskę czasu, który mógł przynieść kiedyś coś lepszego... lub zupełną ruinę.

O wewnętrznem urządzeniu nie ma już co i mówić. Dworu wiejskiego nie można od razu zapełnić jednym tuzinem mebli z Wiednia sprowadzonych. dwór taki zapełniał się powoli, często kilka wieków,

a co tam było, tego nikt nie mógł od razu wyrzucić. Zresztą mogło to być nie modne, ale było zawsze dobre.

Ożenienie się więc Maryana, które według zwyczajów tradycyjnych nie było żadnym olśniewającym fajerwerkiem i nie dało sąsiadom żadnéj materyi do admirowania sportu i szyku zagranicznego, sprawiło w ogóle niedobre wrażenie. Żona nie wniosła do domu żadnych świetnych stosunków i kolligacyi, nawet o jéj pochodzeniu bardzo różnie mówiono. Romantyczna miłość dwojga kochanków wydała się śmieszną, a nawet dostarczała powiatowym bohaterom na zjazdach jarmarcznych i karcianych wiele tematu do różnych dowcipów. Szpakowaci Donżuani stawali szeregiem koło drzwi kościoła parafialnego i przez szkiełka patrzali na wychodzącą młodą parę, pozwalając sobie głośno różnych pospolitych uwag i wykrzykników. Nawet uderzająca piękność Flaminii i dostarczała tematu do różnych wniosków złośliwych. Szeptano sobie do ucha, że była we Włoszech aktorką, że śpiewała w jednym z teatrzyków ludowych... Śmiano się i żartowano przy tem i całą te biesiadę duchową kończono w cukierni likierem lub czystą narodową żytniówką.

Cała parafia nie mogła darować Maryanowi, że cicho, bez hałasu, wprowadził młodą żonę pod strzechę rodzinną, że stało się to wszystko bez żadnego fajerwerku, że młoda żona nikomu nie była znana z swojéj paranteli, że nie mogła się liczyć ani do krewnych hr. Izajasza, ani do powinowatych księżnéj Aurory, jakich wiele było w powiecie. Ciasny głupi światek powiatowy nie mógł jéj darować, że nie miała ani znacznych pieniędzy ani tytułów lub pokrewieństwa z tytułami. Nawet skandalu żadnego nie przyniosła do jednostajnéj atmosfery parafialnéj, któraby się choć w taki sposób trochę ożywić mogła... Lwice powiatowe odmawiały jéj nawet urody. Wynajdywały w ubiorze jakieś anachronizma i utrzymywały że włosy miała farbowane, bo właśnie za granicą była moda wtedy farbowanie włosów kobiecych na kolor ciemno złoty... Nie wiedziano jeszcze jakie ma wykształcenie, bo państwo młodzi jeszcze nigdzie w sąsiedztwie z wizytami nie byli. Wnoszono jednak że Maryan byłby się żoną swoją w okolicy pochwalił, gdyby w niéj było co do chwalenia.

Nie ma nic wstrętniejszego nad ten zacofany i zgniły u nas światek powiatowy. W zgniłéj jego atmosferze rodzą się organizmajuż w zarodzie skrzywione i sparaliżowane, i wegietując potem tylko rozszerzają w koło siebie zatruwające całe społeczeństwo miazmata...

— Czy widziałaś pani, mówiła pani Marcinowa do pani Janowéj, już trzecią niedzielę w jednym i tym samym kostiumie do kościoła przyjeżdża... A jaki kapelusz ma na głowie, niby coś w tem fantazyi, ale wszystko i dziesięciu groszy nie warto. Trochę gazy i kilka piór pospolitych...

— Moja panna służąca ma kosztowniejszy kapelusz, odpowiedziała pani Janowa, która już trzy razy wysyłała męża do Warszawy do archiwów heraldycznych, aby tam jakie papiery potrzebne do hrabiowskiego tytułu wynaleźć.

— Mówiłam wczoraj z księżną... tak z samą księżną mówiłam. Dziwiła się jak człowiek tak dobrze wychowany mógł się w ten sposób ożenić.

— Myśmy w zeszłą sobotę byli u księżnéj... a gdzie pani księżnę widziała? Zapewne u państwa Władysławów? już to księżna bardzo zacna i popularna kobieta. Pójdzie gdzie bądź, wcale nie przebiera w towarzystwie.

— To prawda, i przyjmuje kogo bądź... Wiem że pani Kalasantowa raz kazała się u niéj zaanonsować i była przyjęta.

— Tak... tego...

Szczęściem dla młodéj pary, że bieg rozmowy pokwasił trochę humory sąsiadek, które odwróciły się teraz od siebie na drugą stronę.

— Powiadają że nie ma klucznicy tylko sama do gospodarstwa chodzi, mówiła z drugiéj strony niska tłusta blondynka, fryzura któréj przedstawiała wiszące ogrody Semiramidy. Widać z tąd, że wcale nie jest wyższego urodzenia.

(*d. c. n.*)

Korespondencya ze Lwowa.

Rzadki zaszczyt spotkał niedawno Galicyę w *Journal des Débats*. Korespondent wiedeński tego dziennika, p. Michał Newliński, przesłał redakcyi długi artykuł o stosunkach naszéj prowincyi, napisany na podstawie spostrzeżeń zrobionych podczas tegorocznéj wycieczki. Pan Michał Newliński przedstawił oczywiście stosunki te w świetle prawdziwem: w sposób dla nas życzliwy. Od wielu lat jest to niezawodnie pierwszy głos dla nas przychylny w prasie francuzkiéj, która po ostatniéj wojnie francuzko-niemieckiéj uwzięła się na nas formalnie otwierając bez żadnych zastrzeżeń łany swoje dla niegodziwych, potwarczych elukubracyi osławionych Sacher-Masochów i Franzosów. Obaj ci wrzekomo galicyjskiego pochodzenia ale zawistni nam pisarze, umieli tak dobrze wyzyskać zmienność sympatyi Francuzów i ich sławną ignoracyę co do stosunków nietylko naszych lecz w ogóle wschodnio-europejskich krajów i narodów, że nawet *Revue des deux mondes* dała się wywieść w pole, i z niepowetowaną ujmą dla swojéj reputacyi, drukowała w tłomaczeniu kilka niedorzecznych a przytem nie prawdziwych i potwarczych obrazków obu tych pisarzy. *Revue* czyniła to z widocznem upodobaniem, bo redakcyę, ile nam wiadomo, ostrzegały poważne osobistości, ale uwagi ich nie odniosły żadnego skutku. Skoro pismo takie jak *Revue des deux mondes* w zaślepieniu czy w tendencyjnem ignorowaniu prawdy i sprawiedliwości, użyć się dało za narzędzie szalbierzy literacko-dziennikarskich, to nie można się dziwić, że w innych pismach francuzkich, zwłaszcza w płytkiéj prasie polityczénj Paryża, wszystko, co w ostatnich czasach pisano o stosunkach polskich w ogóle a szczególnie o galicyjskich, rozmijało się z prawdą i słusznością. W obec tego faktu wysoko cenimy obywatelską zasługę p. Michała Newlińskiego, że korzystając ze swojego wpływu na jeden z najznakomitszych organów francuzkich, wyzyskał wrażenia odniesione ze swojéj wycieczki do Galicyi w sposób tak dla niéj pożyteczny. P. Michał Newliński zapewne nie poprzestanie na tym pierwszym kroku, który znalazł uznanie i wywołał sensacyę pochlebną dla autora. Dalszemi Korespondencyami tego rodzaju może zasłużyć sobie na wdzięczność kraju a mało kto może tę misyę spełnić tak skutecznie jak p. Newliński, który dla poprawnéj formy i żywego przedstawienia rzeczy musi być ceniony w redakcyi każdego dziennika francuzkiego, a nadto niepospolitą karyerą dyplomatyczną i pracami dotąd w języku francuzkim ogłoszonemi, zjednał sobie powagę i wyrobił stosunki wpływowe.

Skutek jednéj takiéj korespondencyi drukowany w paryzkim dzienniku jest niezawodnie większy aniżeli sążniste protesty i reklamacye polskich dzienników, które za granicą nie są zrozumiałe i nie mają wstępu tam, gdzie dotarła potwarz po francuzku wyrażona. Nasze protesty nie odnoszą skutku nawet w obec prasy wiedeńskiéj z tego samego powodu i dlatego słusznie nieraz już podnoszono, że potrzebny byłby dziennik wydawany w języku niemieckim lub francuzkim specyalnie w tym celu, aby w formie dla zagranicy zrozumiałéj, a więc w obec całéj Europy, bronił nas przed niegodnemi potwarzami. Dopóki Węgrzy nie uzyskali dzisiejszéj samodzielności swojéj i walczyć musieli z podobnemi uprzedzeniami i niegodziwościami jak my dzisiaj, zawsze posiadali w Wiedniu swój organ po niemiecku pisany, który broniąc interesów węgierskich, starał się przytem dobrą redakcyą i obfitością treści współzawodniczyć z innemi dziennikami. I dziś Węgrzy nie zapominają o tem, że potrzebują pośrednika z zagranicą w formie niemieckiego dziennika, bo cała prasa madyarska jest tam niezrozumiała. *Pester Lloyd* jest właśnie takim pośrednikiem, i jemu może głównie zawdzięczają Węgry, że całe Niemcy dobrze są poinformowane o stosunkach węgierskich, że zazwyczaj znają te stosunki ze strony dodatniéj. *Pester Lloyd* tak patryotycznie pojmuje swoją misyę, że nieraz zamilcza skandale rozmazywane w prasie madyarskiéj, aby nie psuć reputacyi Węgier. Gdyby zagranica informowała się o stosunkach Węgier z prasy madyarskiéj, pewnie miałaby o nich wyobrażenie może tak złe jak o nas, bo w ostatnich czasach nieraz madyaryzm wszedł w kolizyę interesami Niemców i obszedł się z nimi bezwzględnie. Przed kilku laty rząd węgierski odebrał Sasom siedmiogrodzkim ich dawne przywileje, wskutek czego posypały się korespondencye do niemieckiéj prasy, przedstawiające Madyarów jako tyranów, myślących o brutalnem zgładzeniu wszelkich śladów niemieckiéj narodowości w Siedmiogrodzie. Świetnie wtedy wywiązały się ze swojego zadania węgierskie organa po niemiecku pisane, a na ich czele znakomity *Pester Lloyd*. Nawet zarozumiała prasa berlińska nie pomogła Sasom w opinii i nie przeszkodziła reformom. Tak samo jak Węgrzy posiadają i Czesi poradnika i tłomacza w obec zagranicy, szczególnie w obec Niemców. Wychodzi im to pewnie na dobre. Gdyby u nas pomyślano o tem na seryo! Tyle pieniędzy idzie od czasu do czasu marnie na chybione od początku do końca zakładanie nowych organów, że funduszami temi dałby się już ustalić byt takiego organu, o jakim tu mówimy. Z początku mógłby to być tygodnik, jeżeli już nie stać nas na założenie pisma codziennego, lub jeżeli siły na to nie wystarczają. Na polu czysto literackiem misyą taką w obec zagranicy spełniać przyrzeka p. Juliusz Mien, zaszczytnie znany tłomacz Słowackiego na język francuzki. Wydawać on będzie od r. 1880 począwszy, w Krakowie, pismo zeszytowe w francuzkim języku, poświęcone przeglądowi literatur słowiańskich, szczególniej polskich.

Przed ośmiu laty, dzięki przyjaznemu chwilowo składowi gabinetu wiedeńskiego, zmieniony został nieznośny i głęboko znienawidzony przywilej, który kosztem dobroczynnéj fundacyi Skarbkowskiéj utrzymywał we Lwowie teatr niemiecki, dla bardzo nielicznych jego wielbicieli. Z chwilą zniesienia przywileju, teatr niemiecki stracił wszelką podstawę egzystencyi i mieliśmy uzasadnioną nadzieję, nawet wszelką pewność, że nikt się nie pokusi o wskrzeszenie sceny niemieckiéj. Lwowowi oddają najwięksi jego nieprzyjaciele ten hołd, że nie uległ próbom germanizacyi mimo długiego ucisku i po stoletniéj gospodarce niemieckiéj pozostał miastem, o którem każdy cudzoziemiec zaraz na wstępie powiedzieć musi, że jest czysto polskiem. Tymczasem na wiosnę b. r. jakaś niemiecka trupa koczująca pokusiła się o wskrzeszenie sceny niemieckiéj we Lwowie. Z nielicznem gronem zużytych sił Melpomeny knajpowsko-ogródkowéj, zjechał do Lwowa

pewien przedsiębierca teatralny i od maja daje niemieckie przedstawienia w wynajętéj na przedmieściu sali. Przedstawienia ograniczają się oczywiście do fars, których efekt obliczony jest na smak estetyczny ludzi zapełniających piwiarnie i ogródki letnie. Są to farsy nietylko płaskie w swoim pomyśle, lecz często nawet obrażające przyzwoitość. Przyznaję się, że nie byłem ani razu w dzisiejszym teatrze niemieckim Lwowa, ale o charakterze i wartości sztuk wcale nie nowych, sądzić można z afiszów. Obiegły one wszystkie podrzędne sceny niemieckie zanim przyswoiły je sobie truppy wędrowne. Przedsiębierca lwowski szybko się zoryentował we Lwowie i poznał, że, niestety! u naszéj ludności izraelickiéj znajdzie jeszcze dość materyału dla takich przedstawień. Rachuba ta miała jak mię zapewniano, nawet prześcignąć oczekiwania, a wskutek tego miała także powstać myśl wystawienia budy, w któréj mógłby się osiedlić teatr niemiecki stale. Skrycie ma być zbieraną na koszta budowy składka w formie akcyi, od których posiadacze pobierać będą tantyemy. Może to tylko czcza pogłoska, ale wypadałoby zbadać ją dobrze, i jeżeli jest w niéj cokolwiek prawdy zapobiedz złemu w samym zarodzie. Milczenie dzienników w téj sprawie niekoniecznie służyć może za dowód że nie grozi żadne niebezpieczeństwo, bo protektorowie sceny niemieckiej nie wystąpią pewnie z takim zamiarem jawnie, dopóki nie zapewnią sobie powodzenia. Mówimy o niebezpieczeństwie, bo każdy niechętny nam wysnułby z powstania niemieckiego teatru wniosek, że we Lwowie żywioł niemiecki posiada znaczenie.

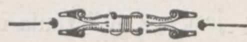
Kiedy teatrowi niemieckiemu lepiéj się powodzi we Lwowie aniżeli spodziewał się jego przedsiębiorca, teatr polski wegetuje tylko w sezonie letnim; wycieczki na prowincyę w najlepszym razie opłacają się tylko a we Lwowie przedstawienia odbywają się przed pustemi lożami i ławkami. Jeżeli wieczór o téj porze pokryje koszta dzienne, to już przedstawienie uważane jest za jedno z lepszych pod względem kasowym. Prawda, że dyrekcya bynajmniéj nie sili się na przełamanie letniéj apatyi publiczności ani doborem sztuk ani personelem, lecz owszem w jednym i drugim kierunku nie zaspokaja słusznych wymagań, ale mimo to wszystko publiczność nie może być zupełnie usprawiedliwiona. Byłoby to wielką klęską dla sceny lwowskiéj, gdyby nie wrócił do niéj rychło p. Stanisław Dobrzański, o którego chorobie długo niespokojne obiegały wieści. Na szczęście jest wszelka nadzieja, że scena lwowska odzyska wkrótce ulubionego artystę, że p. Stanisław Dobrzański poświęci się jéj z większym zasobem sił fizycznych. Jeszcze dotkliwszym ciosem byłaby utrata p. Bolesława Ładnowskiego, którego Warszawa podobno stale do siebie przyciągnąć zamierza.

„Bitwa pod Grunwaldem“ ściąga we Lwowie więcéj widzów niż poprzednie arcydzieła Matejki. Jest to naturalny skutek faktu, że zanim obraz ten dostał się do Lwowa, oglądała go i oceniła cała Europa. Publiczność lwowska czekała długo na przybycie obrazu, zaczynała już wątpić czy będzie mogła widzieć go we Lwowie. Daleko mniéj zwiedzana jest doroczna wystawa obrazów, chociaż są tam dzieła, które mimo równoczesnego wystawienia Bitwy pod Grunwaldem zasługują na zwiedzenie. Świetnie reprezentowany jest i w téj sali Jan Matejko portretem obecnego Namiestnika, hr. Alfreda Potockiego, który jako dawny Marszałek Krajowy (1875—1876), przedstawiony jest na obrazie wwspaniałym stroju polskim. Portret ten jest własnością kraju i zdobić będzie salę posiedzeń w nowym gmachu sejmowym. W myśl uchwały sejmowéj w sali téj znajdować się będą portrety wszystkich dotychczasowych marszałków krajowych t. j. księcia Leona Sapiehy, hr. Alfreda Potockiego, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i hr. Ludwika Wodzickiego. Dotąd gotów jest portret ks. Leona Sapiehy i (dzieło p. Henryka Rodakowskiego) i właśnie teraz wystawiony portret hr. Alfreda Potockiego.

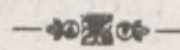
Galicya jest bogatą w fundacye stypendyjne i pod tym względem zmierzyć się może z każdym krajem. Znaczny procent młodzieży szkolnéj pobiera stypendyum już w niższych klasach i tylko temu wsparciu zawdzięcza możność ukończenia szkół. Corocznie wzrasta liczba stypendyów bądź to przez wzrost kapitałów fundacyjnych, bądź wskutek powstawania nowych fundacyj. W ostatnich czasach przybyło krajowi kilka takich fundacyj, z których jedna wytknęła sobie cel odrębny, zgodny z tym kierunkiem w jakim dziś rozwija się praca publiczna nad polepszeniem stosunków krajowych na polu przemysłowem. Nowa fundacya powstała z funduszów, które kraj poświęcił na wystawę krajową z r. 1877. Wystawa ta wydała tak świetne rezultaty finansowe, że komitet mógł zwrócić otrzymaną subwencyę. Sejm przeznaczył ją na stypendya dla rzemieślników i przemysłowców, którzy zawodowo już w kraju wykształceni, wiedzę swą i naukę za granicą uzupełnić pragną. Odsetki z kapitału fundacyjnego (14,000 złr.) służyć będą na wypłatę stypendyów po 300 złr. rocznie dla rzemieślników i przemysłowców w celu powyżéj wskazanym. Zarząd fundacyi i wydawnictwo stypendyów należy do Wydziału Krajowego. Stypendya udzielane będą prawidłowo na rok jeden; mogą być jednak pozostawione na czas dłuższy, najdłużéj na trzy lata, jeżeliby wydoskonalenie się w zawodzie przez stypendystę wybranym wymagało dłuższego pobytu za granicą. Wydziałowi Krajowemu wolno będzie wskazać te gałęzie rzemiosła, dla któréj w danéj chwili zamierza stypendya przeznaczyć. W téj mierze kierować się ma Wydział Krajowy względami na potrzeby kraju. Kandydaci ubiegający się o stypendya winni w podaniach swoich wskazać szczegółowo program i cel podróży, a Wydział Krajowy może nadto wytknąć stypendyście kierunek, w jakim i miejscowość, w któréj uzupełnić ma swoje wykształcenie. Już w podaniu kandydat ma się zobowiązać, że w razie uzyskania stypendyum, po wykształceniu się zagranicą, wykonywać będzie swoje rzemiosło lub przemysł w kraju przez lat dziesięć. Stypendysta nie dopełniający tego warunku obowiązany będzie zwrócić fundacyi kwotę otrzymaną z procentem. Nadwyżki dochodów stałych nie dosięgające wysokości jednego stypendyum, oraz wszelkie inne nadzwyczajne dochody będą wcielane do majątku fundacyi, dopóki nie okaże się mozność pomnożenia liczby stypendyów. Jeżeliby jednak z czasem wskutek zmiany stosunków, stypendya w obecnéj wysokości okazały się niewystarczającemi na podróż za granicę w celach fundacyą wskazanych, wolno będzie Wydziałowi Krajowemu zaniechać tworzenia nowych stypendyów i podnieść już istniejące do odpowiedniéj wysokości a nawet zmniejszyć w tym celu liczbę już istniejących stypendyów.

Stateczna ambicya Lwowian otrzyma wkrótce niemałą satysfakcyę. Niezadługo będziemy mieli kolej konną, czyli mówiąc utartą nazwą tramway. Magazyny tramwayu stoją już pod dachem, zakładanie szyn już się rozpoczęło, a eleganckie wagony nadeszły już z Grazu. Tramway wydaje się każdemu Lwowianinowi możliwym dowodem, że stolica Galicyi, dzięki szybkiemu rozwojowi w ostatnich latach, wywalczyła już sobie nazwę wielkiego miasta. Do pewnego stopnia tramway uważać należy rzeczywiście za dowód awansu na stanowisko wielkiego miasta, bo bez znacznych odległości i wielkiego ruchu ulicznego, tramway nie ma racyi bytu, a gdzie zachodzą oba te warunki, tam rzeczywiście mówić już można o wielkiem mieście. Wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, że tramway utrzyma się we Lwowie, a jeżeli już ustali byt swój, to stanie się niezawodnie jednym z czynników w dalszym wzroście naszego miasta. Gdzie szyny tramwayu umożliwia komunikacya szybka ze środkiem miasta, tam zabudują się puste place i wypełnią się ulice rzadko zabudowane. Tego właśnie życzyć należy naszéj stolicy, bo place i ulice zabudowane tak szczelnie, żeby sprawiały efekt prawdziwie wielkomiejski, należą do wyjątków, z tego powodu kto pierwszy raz Lwów widzi nazywa go miastem dopiero powstającem. Nam patrzącym na każdą nowo powstającą kamienicę, zbyt powolną wydaje się ta praca nad nadaniem Lwowowi cechy wielkomiejskiéj. Kto jednak nie widział Lwowa od lat kilkunastu, przyznaje, że zmienił się do niepoznania, że wygląda jakby inne miasto. Tramway przyśpiesz y tę metamorfozę a nadto ożywi ruch uliczny, który i tak już, w stosunku do liczby ludności, nazwać można nadzwyczajnym.

B. Ł.



Kronika Paryzka.



(Dokończenie).

Chińczycy ze wszystkich narodów mieszkających na kuli ziemskiéj, są z pewnością najwięcéj łakomi na zysk, pojmują więc doskonale wielki użytek płynący z kolei żelaznych, nie chcą jednak przeprowadzić takowych, nawet jedną linię nadgraniczną zbudowaną przez Anglików zakupili i zburzyli, z obawy aby ciężar i łoskot przebiegających pociągów, nie naruszał spoczynku ich przodków. Ponieważ nie ma skutku bez przyczyny, rozmaici więc badacze dziejów stawiali pytanie: jaki użytek dają Chiny dla społeczeństwa ludzkiego?

Jeden z uczonych francuzkich, pan Adrien Desprez, odpowiedział bardzo dowcipnie: Chiny, mówi on, dają przykład stronnictwu zachowawczemu, posuwającemu dążności swe do przesad, jakie są następstwem uporu objawionego w odpychaniu wszelkiego postępu.

Chińczycy przy bliższem poznaniu zyskują wiele, są pracowici, wstrzemięźliwi, oszczędni; prawodawstwo ich obowiązuje cały naród wielkich i małych, nie ma w téj mierze najmniejszych wyłączeń lub przywilei. Rozwój polityczny, tak jak rozwój wielu innych stron, pozostawia wiele do życzenia. Chiny jednak od czasu do czasu posiadały zdolnych ministrów, umiejących wypełnić niedostatek ustawy. Jeden z nich w następujący sposób, określił zapatrywanie swe na sztukę rządzenia.

„Nie trzeba nigdy tamować swobodnego rozwoju człowieka: dozwólmy poecie układać wiersze, niższym warstwom ludności bawić się na placach publicznych, historykom mówić prawdę, ministrom udzielać rady bez obawy obrażenia monarchy, ogółowi ludności rozprawiać o polityce i narzekać przy płaceniu podatków, studentom powtarzać głośno swe lekcye, a starcom zrzędzić, marudzić, narzekać i chwalić bezwarunkowo czasy dawniejsze.“

Jeden z dzienników paryzkich zrobił uwagę, któréj nie wiemy jakie nadać miano: dowcipu, prawdy, czy złośliwości? Oto co mówi:

„Jeszcze dzisiaj w niektórych państwach europejskich, można napotkać ministrów, którzy program polityczny ułożony przez ministra chińskiego uwa-

żaliby za rewolucyjny, i burzący najświętsze podstawy społeczne."

Kończąc sprawozdanie nasze dotyczące nowéj edycyi dzieła Marco-Polo, wspomnimy choć pokrótce o książce dotyczącéj również Chin, ogłoszonéj drukiem w roku bieżącym, pod tytułem: *Z Marsylii do Shanghai i Yedo, opowiadanie pewnéj Paryżanki.*

W jesieni w 1875 r. jeden ze znakomitych doktorów paryzkich pragnąc odwiedzić córkę mieszkającą w Shanghai, otrzymał zlecenie od ówczesnego rządu francuzkiego, zbadania dokładnie warunków hygienicznych zachowywanych w portach chińskich i japońskich. Sprawozdanie jego dotyczące tego przedmiotu, ogłoszone w formie raportu do ministra, objęło wiele szczegółów nader ważnych dla handlu i marynarki francuzkiéj.

Towarzysząca mu w podróży małżonka, korzystając z nastręczonéj sposobności, starała się zbadać rozmaite szczegóły dotyczące życia domowego Chińczyków które zazwyczaj oczy kobiece lepiéj niż męzkie potrafią dostrzedz i uchwycić ich piętna charakterystyczne.

Autorka opisywała odbierane wrażenia w listach do rodziny mieszkającéj we Francyi. Praca więc cała dokonaną jest bez obliczania na efekt, w stylu wcale niewyszukanym, ale za to odznaczonym wdziękiem prostoty i naturalności. Przymiot to wielki w książkach tego rodzaju, dający możność czytelnikowi ujęcia prawdy rzeczywistéj, którą częstokroć zbytnia twórczość piszącego, przekształca do niepoznania.

Zwyczaje domowe, szczególniéj dotyczące życia kobiet; ich zajęcia i prace, ubiór, sypialnie, umeblowanie, rodzaj posiłku i t. p. zwracają przede wszystkiem uwagę doktorowéj.

Wejście do mieszkań prywatnych w Chinach, jest nadzwyczajnie utrudnione dla cudzoziemców, dzięki jednak poparciu udzielonemu przez konsula francuzkiego, autorka przyjętą była przez żonę jednego z bogatszych kupców miejscowych.

Wszedłszy do pierwszéj sali znajdującéj się na dole, zastała dwa szeregi służących płci żeńskiéj, oczekujących na jéj spotkanie. Nogi mniejszych lub większych rozmiarów, były oznaką stanowiska zajmowanego w domu, w stosunku odwrotnym; im mniejsza noga, tem większa powaga sprawowanego urzędu.

Przybyli goście usadowieni zostali na fotelach wyrobionych z drzewa rzeźbionego, z siedzeniami marmurowemi; fotele te ustawione były rzędem przy ścianie, a przed każdym znajdował się mały stoliczek.

Niezadługo ukazała się gospodyni, chwiejąc się jak kaczka na skarłowaciałych nogach, będących przedmiotem pychy dla każdéj kobiety chińskiéj. Grubo nałożone bielidło, karmin i silnie uczernione brwi w formie łuku, narysowanego wedle wszelkich prawideł geometrycznych, czyniły z jéj twarzy prawdziwą maskę, bez najmniejszego wdzięku. Ubraną była nadzwyczajnie bogato od stóp do głów; trzewiki i włosy przystrojone miała w drogie kamienie i kwiaty. Suknie bogato haftowane, uszyte z materyi jaskrawego koloru, przypominały narysowane figurki na wachlarzach i parawanach.

Niezadługo ukazała się dama starsza od pierwszéj lecz mniéj umalowana, a na znak przez nią dany, wniesiony został ogromny stół, zastawiony łakociami chińskiemi. Rozmaitego rodzaju smażone i gotowane konfitury, imbier, suszone ryby z konfiturami, skrzele rekinów, krewety, owoce i t. d. i t. d. znajdowały się w różnéj wielkości czarkach srebrnych, lub na półmiskach wyrobionych z tego samego metalu.

Doktorowa, w następujący sposób, opowiada przebieg ofiarowanego na jéj cześć śniadania.

„Usiedliśmy wszyscy do stołu z wyjątkiem dwóch gospodyń, które wedle etykiety miejscowéj powinny stojąc robić nam honory domu. Każda z nich uzbrojona w mały widelec o dwóch ościach, brała nim kawałki różnych potraw i wkładała je w nasze usta z niezmierną szybkością.

Usługa tego rodzaju była nadzwyczajnie szybka, nie było czasu na rozmowę; chcąc oszczędzić gospodyniom fatygi, spieszyłyśmy się nadzwyczajnie, pomimo jednak tego jeszcze jednego nie zdołaliśmy połknąć, kiedy już drugi ukazywał się przed naszemi oczyma. Podając jedzenie, nie zapominano i o piciu, i w tym celu wlewano doskonałe wino ryżowe w malutkie filiżaneczki, stojące obok naszych talerzy. Małe ich rozmiary dawały możność zastosowania się do miejscowego zwyczaju, aby nalany trunek bez względu na jego rodzaj, wypity był jednym tchem. Każda osoba postępująca inaczéj, daje o swojem wychowaniu jak najgorsze wyobrażenie.

Przebieg śniadania był ciągle przyśpieszony, jednak wkrótce zaczęły się objawiać pierwsze objawy sytości, szczęki téż nasze widocznie pracują z mniejszym zapałem. Gospodynie dostrzegłszy ten stan rzeczy, dały znak; służba w jednéj chwili porwała stół i wyniosła z sali, ale jednocześnie otworzyły się z łoskotem podwoje drzwi znajdujących się z przeciwnéj strony, i my z prawdziwem przerażeniem, dostrzegliśmy... drugi stół, jeszcze szerszy i dłuższy niż poprzedni, pokryty rozmaitemi potrawami na gorąco, ponieważ zimne dane poprzednio, były tylko przekąską, dawaną przed ucztami dla poruszenia apetytu. W środku stołu znajdowało się ciasto gotowane w wodzie, nadziewane mięsem raków morskich i ryb siekanych z czosnkiem, na około ustawione były półmiski z rybami, smażonemi i gotowanemi w najrozmaiszy sposób. Dania w Chinach oznaczone są zmianą stołów, oprócz dwóch wzmiankowanych, czekały nas jeszcze trzy insze: jeden z różnemi mięsiwami i drobiem domowym; drugi ze zwierzyną i ptakami dzikiemi; trzeci z rozmaitemi przysmakami na podobieństwo naszych deserów, w pośrodku których jaskółcze gniazda zajmowały miejsce naczelne. Nawet przez grzeczność nie mogliśmy jeść więcéj z wielkim przeto żalem kucharza i gospodyni, trzy ostatnie stoły przesunięte były dla ceremonii tylko i popisu.

Chcąc przyjąć gości w sposób powyż opisany, niezbędną jest ogromna ilość sprzętów domowych i liczna liczba służby, nic więc dziwnego, że ta liczoną jest na dziesiątki, nawet w domach średniéj zamożności. Nie jeden Europejczyk powstanie na zbytek, tymczasem ten stan wywołany jest koniecznością. Ogromna ludność Chin, narażoną byłaby na straszliwe następstwa nędzy, gdyby ludzie możni chcieli ściskać swoje dochody, nie dając pracy rzemieślnikom a utrzymania prawdziwym legionom służących.

Chińczycy lubią nadzwyczajnie kwiaty, prócz więc pięknych ogrodów, przyozdobionych w sposób bardzo rozmaity, znajdują się przy każdym domu znaczniejszym bogate tarasy urządzone z przepychem. Służą one w lecie jako miejsce do picia herbaty i któżby uwierzył! jako schronienie niezbędne. W téj mierze Chińczycy są prawdziwemi barbarzyńcami, a co gorsza że uszanowanie dla tradycyi, jak mówią, nie dozwala im zrobić najmniejszéj zmiany. Duchom przodków byłoby nadzwyczajnie przykro, gdyby ich potomkowie idąc odmiennym torem, wytykali niajeko ich błędy.

Autorka, będąc nadzwyczajnie ciekawą, postanowiła koniecznie zobaczyć nogi u jednéj przynamniéj z chińskich kobiet. Zadanie niełatwe do spełnienia; część ta ciała zakrytą jest starannie nawet przed oczami męża, cóż dopiero mówić o osobach obcych a szczególniéj cudzoziemcach. Silna jednak wola potrafi wszystko przezwyciężyć i gdy pośrednictwo doktora okazało się bezskutecznem, niezrażona paryżanka udała się do przełożonéj całego szpitala, z prośbą o udzielenie jéj poparcia. Żąda pani rzeczy niepodobnych, odpowiada przełożona stanowczo; w téj jednak chwili przypomina sobie, o jednéj tylko co nawróconéj Chince, a tem samem ulegającéj większemu niż inne kobiety wpływowi zakonnic.

W obec całéj rodziny zaniesioną została prośba, do nowéj chrześcianki o pokazanie nóg. Po krótkiem wahaniu zezwoliła na tę ofiarę; zanim jednak dotknięto ręką trzewika, mąż z pośpiechem wyszedł z pokoju, nie chcąc obrażać narodowych zwyczajów.

Względna łatwość, z jaką zgodziła się kobieta chińska na pokazanie nogi, nastąpiła z powodu niedokładnego porozumienia; sądziła ona że chodzi tylko o zdjęcie trzewika i pończochy a potrójne opaski owijające nogę, będą nietknięte. Poznawszy smutną prawdę, okazała największe przerażenie, i stawiłaby opór rozpaczliwy, gdyby nie uszanowanie dla przełożonéj. Z piersi jéj wydobyły się głuche jęki, cała jéj rodzina szlochała, łamiąc ręce rozpaczliwie. W chwili stanowczéj, kiedy ręka zbrodnicza ośmieliła się dotknąć ostatniéj opaski, nieszczęśliwa kobieta straciła prawie przytomność.

Wytrwałość wszakże okazana przez autorkę, nie była wynagrodzona; zamiast malutkich nóżek dziecinnych jakie sobie wyobrażała, zobaczyła coś tak brzydkiego i nieforemnego, że z kolei sama o mało nie wydała krzyku przerażenia. Były to dwa kawałki ciała nieforemne, którym niepodobna było dać nazwiska; palce zawinięte jedne na drugie, nie były wcale podobne do palców ludzkich, tworzyły jakieś koło dziwaczne, zagięte pod stopą, odmawiając ciału należytéj podpory, spowodowywując jego kołysanie, tyle zachwycające dla oka Chińczyków. Nadto ciągłe ściskanie nogi wywołuje zazwyczaj ropienie się podeszwy stopy, co, jak domyślć się łatwo, wcale całości wdzięku nie dodaje.

W ostatku wspomnimy o okoliczności, charakteryzującéj nadzwyczajnie obyczaje i zapatrywanie się władzców, stojących na czele Chin. Autorka wracając z Japonii wraz z mężem, postanowiła w przejeździe odwiedzić kupców, przez których tak gościnnie była przyjętą.

Zastała ich w położeniu różnem zupełnie od dawniejszego. Rząd uznał kupca jako zbyt bogatego na prywatnego człowieka, a tem samem niebezpiecznego dla ogólnego pokoju; skonfiskował mu więc prawie cały majątek, zostawiając tylko w jego posiadaniu nieznaczne szczątki dawnego mienia. Zaiste minister skarbu w Chinach, nie ma trudności w znalezieniu funduszów na pokrycie rocznych wydatków.

W razie niedoboru nie potrzebuje się uciekać do pożyczki, każe sobie tylko przedstawić listę najbogatszych osób w cesarstwie, a uznawszy ich za niebezpiecznych, zapełni kufry obficie.

Przegląd literacki.

(Dokończenie).

Prawdą jest, co p. R. A. powtarza z jakiegoś autora że sfera pojęć ucznia nie rozszerzy się od tego że będzie mógł np. nazwać *drzewo* w 5 lub 6 językach,

ale skoro pan R A. nie zdołał dojrzéć w nauce łaciny i greczyzny nic więcéj nad wokabuły, skoro nieznaną mu jest wartość języków starożytnych jako najlepszej gimnastyki umysłowéj, jako szkoły porządnéj pracy i wytrwałego natężenia umysłu, skoro nie wie nic o historycznem, cywilizacyjnem, estetycznem i praktycznem nawet znaczeniu obu języków klasycznych, nie podejmujemy się tu prostować jego pojęć, nie mając już miejsca na wywody zbyt elementarne. Powtóre. co się tyczy owego przysłowia starożytnego, nie sam tylko p. R. A. błędnie je pojmuje. Chodzi o to że owo zdanie *mens sana in corpore sano* (zdrowy umysł w zdrowem ciele) należy uzupełnić słówkiem *sit* (niech będzie), nie zaś, jak mniema pan R. A. i z nim wielu, słówkiem *est* (jest, bywa). W pierwszym bowiem razie owa maksyma słusznie jest pojmowaną, jako wyraz pożądanéj harmonii, ideału, do którego dążyć wypada; w drugim wypadku błędnie wnoszą, że człowiek zdrowy jest wyższym umysłowo od chorego i słabowitego. Śmieszny ten pogląd, według którego rozum obliczałby się na wagę ciała, nie wytrzymuje krytyki rozumu i faktów. Pan R. A. hołduje mu jednak, a nawet czyni umysł zależnym od *wzrostu*, jak to widać ze słów jego: „Łokietki (ludzie małego wzrostu, a wielkiego ducha, jak król Łokietek) należą do wyjątków" (marzec str. 514). Otóż wiadomo każdemu, że bywali ludzie genialni nietylko małego wzrostu (Napoleon I) ale nawet słabowici i całe życie chorujący (Paskal, Heine, Krasiński i t. d.). Ten sam obłęd realistyczny doprowadza téż pana R, A. do wadliwego, bo nie dającego się ściśle przeprowadzić, porównania mózgu z żołądkiem (str. 513).

Ciekawą jest bardzo praca p. Smoleńskiego o drobnéj szlachcie w Królestwie- Żywioł to liczebnie dość znaczny (około ½ miliona), ale mało znany. Autor oprowadza nas po gospodarstwie szlachty drobnéj w Płockiem, opisuje jéj mieszkania, obyczaje, wady i braki ich bytu, oddając w końcu hołd zasłużony skrzętnéj pracowitości niewiast.

Zasługuje też na uwagę artykuł p. Kryńskiego „Z dziejów języka polskiego," wymierzony przeciwko wywodom p. Makuszewa, który podobieństwo wielu wyrazów polskich, teraźniejszych i dawniejszych, do takichże wyrazów rosyjskich, uważa za dowód wpływów ruskich na piśmiennictwo i język polski i szuka śladów owych wpływów w najdawniejszych zabytkach języka polskiego. Tymczasem z wyjątkiem kilku rusycyzmów, świadomie i z umysłu przytoczonych przez dawnych pisarzy naszych, całe podobieństwo wynika ze wspólności pochodzenia Słowiańskiego, co aż nadto każdemu wiadomo.

P. Kryński rozbiera szczegółowo wywody p. Makuszewa i przytacza mnóstwo źródeł, co dowodzi erudycyi autora w danym przedmiocie, jeżeli autor istotnie sam z tych wszystkich źródeł korzystał.

Powieść Deotymy p. t. „Krzyż nad Otchłanią" nazwaną została przez autorkę „studyum kobiecem." Z nagłówka trudno domyśléć się, czy „studyum kobiece" znaczy studym o kobietach, czy przez kobietę napisane; dopiero z treści dowiadujemy się, że w danym razie ten wyraz znaczy i jedno i drugie, choć „studyum" schodzi do rozmiarów powieści dość miernéj, napisanéj w formie listów, formie oklepanéj i dla autorów dogodnej, ale wymagającéj wielkiego talentu, ażeby nie stała się nudną i ckliwą. Talentu zaś powieściopisarskiego ani wielkiego ani dostatecznego Deotyma nie posiada i nie wykazała go ani w niniejszem opowiadaniu, zdradzającem bladość i ubóstwo pomysłów obok naciąganych nieprawdopodobieństw (np. losy pana Adama), ani w drukowanym dawniéj w Tyg. Ilustr. utworze „Na Rozdrożu." W zeszycie lutowym ktoś ze znajomych Mikołaja Węża, obywatela niegdyś wołyńskiego, dowodzi że autorem znanego wiersza „Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą" był nie Mickiewicz ale właśnie ów Wąż. W spisie rzeczy, redakcya Ateneum podała za autora téj notatki samego Węża, zmarłego przed 60 laty (w r. 1818).

Pod względem czystości języka i stylu widzimy pewny postęp w porównaniu z dawniejszem zaniedbaniem; zawsze jednak napotykamy jeszcze liczne usterki w płodach współpracowników Ateneum. Oto próbki: „inflantski" (styczeń str. 6); „sangwiniczny tryumf" (tamże str. 7); „Pzeczpospolita autoramentu sandomierskiego" (tamże str. 10); „książki słowiańskie *nie poławiały się* zbyt łatwo w Paryżu" (str. 28).

Stylu ciężkiego i niepoprawnego oto są przykłady: „za granicę dosyć często wyjeżdżał dla kuracyi w Karlsbadzie; *a nietylko jednak* lato, ale i zimę nieraz przepędzał po za krajem" (p. Chmielowski styczeń 26); „wśród podróży tych niewiadomo, czy się zapoznał z dziełami Hoene Wrońskiego, w których była mowa o konieczności odnowienia chrystyanizmu i o misyi Napoleona; *czy też, ale* to przynajmniéj za pewne przyjąć można że" i t. d. (tenże tamże str. 27).

Pod względem korekty widać także większą niż dawniéj staranność ze strony redakcyi; trafiają się jednak jeszcze pomyłki rażące jak np. „odkąd" zam. odtąd (styczeń 26) „im" zam. „mu" (tamże str. 38).

Zapewne też z winy korekty Patkul został wieśniakiem z nad *Dunaju* zamiast *z nad Dźwiny* (luty 271).

Szczególniéj niefortunnego losu doznają na kartach Ateneum wszelkie cytaty w językach obcych, a głównie łacińskie. Doprawdy, rzecz to dziwna: niegdyś łacina kwitła w kraju naszym lepiéj niż we Włoszech, a choć czasy obecne dalekiemi są od epoki Dantyszków, Janickich i Sarbiewskich, toż przecie i dziś łaciny uczą dużo w szkołach, a jednak redakcya Ateneum nie może zdobyć się na korektora, któryby nie pozwolił wydrukować np. *ruterim* zam. *interim*, *audisit* zam. *audivit* (wszak ten czasownik znajduje się we wzorach konjugacyi w gramatyce na kl. I.), *dolore pedisse excusaus* zam. *dolore pedis se excusans* (wszystko w zesz stycz.n str. 14, gdzie jest tego i więcéj).

Ostatecznie widzimy że w ostatnich zeszytach Ateneum niebrak rzeczy zajmujących, godnych przeczytania i zastanowienia się; wymieniliśmy tylko ważniejsze, zamilczając o podrzędniejszych i przekraczających zakres naszéj kompetencyi. Biblioteka Warszawska, jak widzieliśmy, nie okazała się także w treść ubogą. Zaznaczeniem tego faktu pocieszającego kończymy niniejsze sprawozdanie, które właśnie wskutek owego bogactwa w treść obu naszych czasopism miesięcznych, urosło do przekraczających nieco zwykłe ramy rozmiarów.

S. W.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Paryż 30 sierpnia 1879.

Co tu powiedzieć o modach na miesiąc wrzesień? Tegoroczne pomysły wszystkie już wyczerpane; każda paryżanka ubiera się w to co ma, oczekując nowych wyroków mody. Wprawdzie pierwsze modniarki obmyśliły już mnóstwo zimowych modelów przygotowały już na przyszłość nowe kapelusze i okrywki, lecz nowości te ukrywają starannie, aby; nie rozpowszechniły się przed czasem i świeżego nie straciły uroku. Wkrótce zasłona spadnie: uchyli ją w końcu września ręka biegłych specyalistek, które ściągną do Paryża ze wszystkich stolic europejskich, po nowe pomysły zimowe. Nim to nastąpi, świat mody grubą dla nas pokryty tajemnicą.

Nie byłoby w rzeczy saméj o czem pisać, gdyby nas nie poratowała wystawa przemysłowa, otworzona przed dwoma tygodniami na polach Elizejskich. W rok po wielkiéj ekspozycyi, ta nowa wystawa zdaje się być zbyteczną. Kto zna jednak niesłychaną twórczość i pracowitość Francuzów, ten pojmie łatwo, że widok tylu dzieł przemysłu, sprowadzonych tu ze wszystkich kończyn świata, musiał dodać bodźca fabrykantom tutejszym i wykrzesać z ich myśli nie jedną nową iskrę.

Bogate okazy wystawione zeszłego roku w działach indyjskim, perskim, marokańskim, egipskim i innych, skierowały smak dzisiejszy do oryentalizmu. Objawiło się to naprzód w rozpowszechnieniu szalów indyjskich, całkiem zaniedbanych od dawna. Wytworne paryżanki wydobyły z ukrycia drogocenne kaszmiry, i poczęły okrywać się niemi w chłodne poranki i wieczory letnie. Widok tych barw jaskrawych na ulicach Paryża, poddał myśl przemysłowcom do fabrykowania wełnianych tkanin, w pasy i palmy wschodnie. Otóż więc tani broszowany kaszmir, pomieszany z gładkim kaszmirem, w kolorze ciemno oliwkowym, granatowym, brązowym albo czarnym, stanowi dziś pierwszą jesienną nowość. Widzieliśmy parę wystawionych sukien tego rodzaju.

Jedna z nich ciemno rozmarynowa z kaszmiru indyjskiego, ma gładką spópniczkę, cokolwiek przedłużoną w tyle. U dołu, w pół łokciowych odstępach idą rozcięcia wysokie na łokieć, sięgające powyżéj kolan. Z pod każdego rozcięcia wygląda wolant z broszowanego kaszmiru, plisowany w kształcie wachlarza. (Ostrzegamy że to plisowanie naszywa się tylko pod rozcięciem). Nad tym garnirunkiem, przerzucona w koło szarfa z broszowanego kaszmiru, schodzi się w tyle i tworzy fantastyczną draperyą. Stanik długi, spięty na dwa rzędy guzików, ma u szyi kołnierz z broszowanego kaszmiru, w formie małéj, przyfałdowanéj chusteczki.

Złote szamerunki jak widać, używane będą do sukień. Uważaliśmy na wystawie kaszmirowy kostium w kolorze ciemno tabaczkowym. Wolant u spódnicy, zarówno jak tunika, objęte były trzema rzędami pletni złotéj: tunika po bokach podpięta kokardami ze wstążek w dwóch kolorach, tabaczkowym i złotym. Stanik długi spinał się na emaliowane guziki.

Kamizelki tak przyjęte na wiosnę, sprzykrzyły się już paryżankom, coraz mniéj ich tu widać. Uważaliśmy jednak, między wystawionemi kostiumami jeden z bardzo długim kaftanem a raczéj surducikiem: poły mocno były rozwarte, na spód szła długa do kolan kamizela, z tkaniny tureckiéj w rodzaju termołamy. Wolant u dołu spódnicy, nadszyty był w górze takąż plisą.

Strojne suknie na wystawie, rażą dziwnie oko mieszaniną kolorów i to bardzo jaskrawych: błękitne np. zdobią wolancikami i draperyą w kolorze jaskrawo żółtym, lub caroubier. Wspominamy o tem dla osobliwości, nie zalecając bynajmniéj tak ekscentrycznéj mody.

Z drobniejszych przedmiotów do ubrania uważaliśmy złote i srebrne paski z odpowiedniemi klamerkami: są także i oksydowane; te najpraktyczniejsze ze wszystkich. Wśród tanich bižuteryj widzimy

bransoletki, opasujące kilka razy rękę w kształcie węża, z pozoru, jedne podobne do koralowych, drugie do malahitowych. Cena ich bardzo nizka (fr. 5). Jest to nowa preparacya gutta-perki, w ładnym kolorze ponsowym i zielonym. Wyrabiają podobne broszki, pierścionki, medaloniki i t. d.

W obuwiu spostrzegliśmy także nowość. Zwróciły uwagę naszą buciki z delikatnéj skórki czarnéj albo brązowéj, wycinanéj w maszynie w rozmaite wzory. Ta skórka podwłóczy się materyą błękitną, szarą lub *caroubier*.

Moda rogówek zwanych koszykami (paniers) coraz się bardziéj upowszechnia. Wszystkie suknie na wystawie mocno rozsadzone po bokach.

Od strojów przejdźmy do mebli. Wiadomo jak francuzcy fabrykanci, celują w stolarskich wyrobach; mnóstwo ich téż wystawiono w pałacu przemysłowym. Wpływ chiński i japoński oddziałał tu widocznie. Pamiętamy w roku zeszłym jak podziwiano w chińskim oddziale, piękne łóżka i fotele, z twardego, czarnego drzewa, zwanego *bois de fer*, (drzewem żelaznem). Otóż na dzisiejszéj wystawie, czarne meble przemagają nad innemi. Wyznajemy iż czarne łóżko zanadto przypomina trumnę, takie *memento mori* nie koniecznie przyjemne: aby ożywiś nieco ten sprzęt, stolarze francuzcy dodają medaliony z sewrskiéj porcelany, malowane *en grisaille* tuszem albo sepią.

Zastosowanie porcelany do stolarskich wyrobów coraz się bardziéj upowszechnia. Widzieliśmy bardzo ładne stoliki do kart, rozkładane na cztery części. Złożony stolik pokrywa się blatem porcelanowym, malowanym w kwiaty, owoce, lub krajobrazy.

Szczupłe rozmiary mieszkań paryzkich, wywołują mnóstwo pomysłów. Już na zeszłorocznéj wystawie uważaliśmy komody, zamienione dowolnie w łóżko, obejmujące w sobie całą pościel. Jedna myśl rodzi drugą, to téż w tym roku, liczba podobnych mebli znacznie urozmaicona. Maleńka kanapka rozszerza się i przedłuża, staje wygodnem łóżkiem; za naciśnięciem sprężyny, wysuwa się w górę, kotara, rozpięta na żelaznych pręcikach. Meble tego rodzaju zalecają się w ogólności nizką ceną, głównie bowiem zastosowane do możności tych, którzy nie mogą zajmować wielkich apartamentów.

W dziale zbytkowych mebli, uważaliśmy kanapy w stylu Ludwika XIV, wsparte na ośmiu hebanowych, lub mahoniowych nogach. Siedzenie i plecy wybite moquettą w deseń, lub aksamitem wytłaczanym w wielkie bukiety; boczne poręcze wyrobione z drzewa. Fotele do tego nizkie, z dosyć wysokiem oparciem i drewnianemi poręczami.

Na szafkach i biórkach uderzyły nas w oczy prześliczne mozajki. I tu widocznie Francuzi skorzystali z okazów zagranicznych na przeszłorocznéj wystawie. Pamiętamy w dziale rossyjskim, piękne kominy i szkatułki, wykonane przez pruskiego fabrykanta z kamieni syberyjskich. Otóż w tym roku piękniejsze jeszcze wystawił fabrykant francuzki. Nic gustowniejszego, jak nizka szafka o trzech skrzydłach (zwana bahut), używana do ozdoby tutejszych salonów. Na każdem skrzydle widzimy kosz z najpiękniejszymi owocami wyrobionymi *en relief*. Wiśnie z koraliny, winogrona z szafirowych i zielonkowatych kamieni, jabłka, gruszki i orzechy z cieniowanego marmuru oddane przewybornie. Tło do tego czarne marmurowe. Ozdoby z bronzu, wykonane z wytwornym smakiem, godne są tej cudnéj mozajki.

Wspomnijmy tu jeszcze prześliczne kredense i krzesła do jadalnéj sali, rzeźbione z dębowego drzewa. Krzesła mają wysoką poręcz, siedzenie wyplatane trzciną: bogatsze zamiast trzciny wybite skórą hiszpańską, w złoty deseń na tle brązowem lub ciemno zielonem.

Obszerne miejsce na wystawie zajmują korkowe wyroby p. Deberskiego, który w roku zeszłym otrzymał złoty medal. Nie przepuszczające wody obuwie, zarówno jak tkaniny wełniane na płaszcze i okrywki, podlepione cienko krajanym korkiem, okazały w tym dżdżystym roku, praktyczną stronę swoją: korek trwalszy od kauczuku, nie topi się od gorąca, a przytem bez porównania lżejszy. Zakład Deberskiego widocznie się rozwija, widać to z mnóstwa wystawionych przedmiotów.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w czwartym kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . . **rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w kwartale IV roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu Zenonowi J. w Moskwie. Nie wszystko co jest rzeczywistością, może służyć za temat do powieści lub utworu poetycznego. Można w piśmie być pełnym prawdy, a nie obudzać najmniejszego zajęcia. Nie idzie jednak za tem aby prawda miała być wyłączoną z utworów piśmiennych: owszem przeciwnie jest ona zawsze wymaganą, ale nie przedstawioną jak odbicie w zwierciadle żywéj osoby, którą znajomi od razu poznać mogą: tylko jako typ, jako uosobienie pewnego charakteru, wady, cnoty, lub namiętności, w którym każdy znajduje coś do siebie podobnego. Prace nadesłane nie są bez wartości, ale realność w nich posunięta do ostateczności.

Przyjaciela Dzieci Nr. 37 wyszedł z druku i zawiera:

Wyjątki z podróży po Hiszpanii (z drzeworytem).—Sprawunki (wiersz).—Nad przepaścią. — Opowiadania historyczne. w Dodatku: W zagrodzie karbowniczki (z drzeworytem).—Zosia (wiersz).—Przygody Zygmusia.—Łza Dziadzi (wiersz).—Albatrosy (z drzeworytem).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: *Do* **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 36 wyszedł z druku i zawiera:

Produkcya Rosyi i Ameryki w obec Europy.—O przyjmowaniu pożywienia — Przegląd pism rolniczych zagranicznych.—Dołowanie paszy. Pudret z owczych odchodów.—Kronika rolnicza.—Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: *Do Redakcyi* ***Tygodnika Rolniczego*** *w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 29 Августа 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Od wczoraj?

— Może źle robię że ci to mówię, ale zresztą przecież nie mam żadnego obowiązku szanowania tajemnic Felicyi. Nie mam powodu jéj oszczędzać, i jeźli tobie może się to przydać na co...

— Terry, potrzebuję wiedzieć wszystko co tylko ma jaki związek z tą kobietą, odrzekł gorączkowo Caryll.

Terry opowiedział mu zdarzenie zaszłe wczorajszéj nocy, pomoc jakiéj udzielił owéj dziewczynie na ulicy, jéj nieprzezorne słowa i odprowadzenie do Felicyi.

„Powiedziała mi kilkakrotnie że Felicya mieszkała w Kanadzie i że ona także w Kanadzie przyszła na świat, a pomimo omówień łatwo mi było poznać z jéj słów że jest córką Felicyi. Bardzo nawet do niéj podobna, a nadto miała przy sobie miniaturę Felicyi i ta zaraz przyjęła ją do siebie. Jestem najpewniejszy że to jéj córka.

Gordon Caryll słuchał w milczeniu. Córka jego i Felicyi. Wiedział od pana Barteax że miała córkę... i ona także jest tu...

— Czy nie mówiła jak się nazywa?

— Powiedziała że nazywa się Gordon Kennedy. Gordon!... ach!...

Po raz pierwszy nagła myśl zbudziła się w jego umyśle; myśl tak dziwna iż prawie osłupiał.

— Ach! zawołał... i wlepił wzrok w towarzysza. Nie ma co dopytywać się dłużéj, pewność jest zupełna. Felicya i Rozamunda Lovell jest jedna i taż sama osoba, a ta młoda dziewczyna zabłąkana w nocy na ulicach Paryża, to jego córka. Nie potrzebuje dalszych zadawać pytań. Stanął i uścisnąwszy dłoń Terrego; rzekł tylko:

— Dość mi na tem. Dziękuję ci, Terry, dobranoc.

I odszedł, zostawiając Terrego osłupiałego z zadziwienia. Teraz wszystko mu się wyjaśnia: historya owéj kanadyjskiéj żony Gordona Caryll, obraz, jego nadzwyczajne podobieństwo do Felicyi, jéj ciekawe wypytywanie go się o Gordona...

Ochłonąwszy nieco, zawrócił się do hotelu.

I Gordon powrócił do siebie. W oknie salonu dostrzegł twarzyczkę Fanny; zdaje mu się że czyta w niéj niepokój i znużenie; boleśnie zacisnął zęby.

Nie może iść do niéj. Wszedł wprost do swego pokoju, zamknął drzwi i rzucił się na fotel aby się namyśléć co ma czynić.

Więc traci swoją ukochaną... traci na zawsze. Jutro musi zawiadomić ją o wszystkiem, a wtedy... o! wtedy wie o tem dobrze... ona już nawet widziéć go nie zechce.

Wie że to nie jego wina... nie potępi go též, nie przestanie kochać i żałować, i równie jak on cierpiéć będzie, ale mimo to nie zaprze się swoich zasad i przekonań i nawet widywać się z nim nie zechce. Na tę myśl zerwał się i jak szalony zaczął biegać po pokoju.

Godziny mijają, on myśli i rozmyśla nad tem. Ale na cóż się to zdało? choćby myślał i przemyśliwał całe życie, nie zdoła zmienić tego co było. Ta kobieta tylko mocą rozwodowego wyroku przestała być jego żoną, a Fanny nigdy nie zostanie żoną rozwodnika. Wychowana we Francyi gdzie rozwody nie istnieją, nie wierzy w nie. Prawa jego kraju mogą go uwolnić od niegodnéj żony, ale nie mogą dać mu, zniewolić Fanny aby została jego żoną. Widać nie dość jeszcze odpokutował za szał młodości, a niebo nie chce umorzyć mu ani szeląga z zaciągniętego długu. I znowu czekają go nieszczęścia i wygnanie...

W tej jednéj nocy przecierpiał więcéj niż wszystko co przebolał w przeszłości. Zajaśniał piękny lutowy poranek, on siedział jeszcze z głową ukrytą w dłoniach, nieruchomy jak posąg rozpaczy.

Promień słońca zajrzał do pokoju; podniósł głowę; jest blady, prawie posiniały; oczy zapadłe, bezgraniczna boleść i rozpacz odbijają się w każdym rysie męzkiéj jego twarzy.

Powziął stanowcze postanowienie. Powie wszystko Fanny, ale pierw zobaczy się z tą kobietą, aby ani cień wątpliwości nie pozostał w jego umyśle. Zobaczy się z Felicyą i z jéj ust dowie się prawdy.

Zadzwonił na służącego, ubrał się i po lekkiem śniadaniu wyszedł z domu zanim panie wstały. Słońce i ruch uliczny orzeźwiły go nieco po bezsennéj nocy. Chodził po ulicach z cygarem w ustach dopokąd nie wybiła jedenasta. Wtedy udał się do Felicyi. Siłą woli zapanował nad sobą; sama tylko niezwykła bladość zdradza miotające nim wzruszenie; na pozór jest zupełnie spokojny.

Nie unosi się gniewem przeciw téj kobiecie; głębokie jego poczucie sprawiedliwości tego nie dopuszcza. Czuje że zawinił i musi odpokutować za swą winę... Tylko musi ją zobaczyć... a następnie...

Nie chce myśléć co potem będzie, aby mógł okazać się spokojnym i silnym.

Za rano to jeszcze na ranną nawet wizytę, ale niepodobna mu czekać dłużéj. Łatwo mu było dowiedziéć się o mieszkaniu tak głośnéj w Paryżu aktorki; udał się tam wolnym krokiem. Zwrócił się do służącego.

„Pani nie przyjmuje tak rano, odrzekł tenże uprzejmie; wątpię nawet żeby już wstała.

— Jestem pewny że mnie pani przyjmie; proszę oddać jéj mój bilet.

Służący zawahał się trochę, ale wyczytał coś w twarzy Anglika co kazało mu być posłusznym. Bilet dostał się do rąk panny służącéj która przedstawiła go pani.

Felicya wstała i była już po śniadaniu. Siedziała rozparta w fotelu, znużona doznanemi wczoraj wzruszeniami... Znużenie to zaznaczyło się sinemi kołami pod oczami.

Myśli właśnie o Gordonie Caryll; widziała jak bacznie przyglądał się jéj wczoraj.

„Jakiś pan przyszedł z wizytą, zameldowała Paulina.

— Jeszcze zawcześnie, nie przyjmuję nikogo, rzekła stanowczo Felicya. Czy to książę Venturini?

— Nie pani, jakiś wysoki blondyn który nigdy tu jeszcze nie był.

Felicya zerwała się i pochwyciła bilet. Mocny rumieniec wystąpił na twarz jéj gdy czytała wypisane na nim nazwisko. Sama nie wie czego się spodziewała, ale nigdy tego; przez chwilę serce jéj biło gwałtownie.

„Przyjmę tego pana, Paulino. Pani Hannay, rzekła zwracając się do swéj damy do towarzystwa, musiała cię już znudzić ta książka; taki śliczny poranek, zdaje mi się że najlepiéj zrobisz gdy każesz osiodłać *Pandorę* (był to ulubiony koń Felicyi) i przejedziesz się gdzie. Rozerwiesz się trochę, mnieś teraz nie potrzebna.

Odprawiona w ten sposób, dama do towarzystwa opuściła pokój; wtedy Felicya zwróciła się do Pauliny.

„Gdzież jest moja protegowana, panna Donny?

— Czyta w swoim pokoju.

— Proszę cię, czuwaj aby z niego nie wychodziła. A teraz, proś tego pana.

Służąca wyszła, a Felicya wstała i przyciemniła nieco pokój, poczem przejrzała się w wielkiem lustrze i napowrót rzuciła się na fotel, nadając oczom swoim smutny, omdlewający wyraz. Ale nie może stłumić zbyt silnych uderzeń serca, a oczy jéj błyszczą jakimś dzikim, ponurym blaskiem.

Nareszcie drzwi się otwarły i wszedł oczekiwany.

Tak to znaleźli się w obec siebie po tylu latach ten człowiek i ta kobieta, niegdyś tak ścisłemi połączeni węzłami.

W tym przyćmionym salonie najpierw zobaczył swój obraz. Zawieszony był wprost drzwi, a w chwili właśnie gdy je otwierał, promień słońca padł na obraz. Oto jak się rozstali z sobą, a dziś schodzą się po raz pierwszy od lat tylu.

Milczał chwilę stojąc nieruchomy i zapatrzony w obraz. Ona pierwsza zaczęła rozmowę.

„Bardzo to ładny obraz i pięknie odmalowany. Tylko nie zdaje mi się... nie przypuszczam aby twarz moja mogła przybrać kiedykolwiek wyraz tak strasznéj rozpaczy, ale musisz pan wiedziéć to lepiéj odemnie.

Wypowiedziała to wolnym i łagodnym głosem, tak spokojnie i uprzejmie jak gdyby serce jéj zamiast gorączkowego wstrząśnienia, tchnęło tylko spokojnem, przyjaznem uczuciem. Na ustach jéj błąkał się złośliwy uśmiech, oczy wpatrywały się w niego z wyrazem prawie okrucieństwa.

Skoro przemówiła, on odwrócił się i spojrzał na nią.

„Rozamunda! zawołał.

Drgnęła usłyszawszy to imię wymówione łagodnym, prawie przyjacielskim głosem. Krew uderzyła jéj do głowy, przez parę sekund zbrakło jéj głosu. Po chwili głośnym wybuchnęła śmiechem.

„A! doprawdy, jakże mi się śmiesznem wydaje słyszéć to imię. Prawie zapomniałam że ono było kiedyś mojem imieniem, tak już dawno go nie słyszałam. Wieleż to?... szesnaście, nie już siedmna-

cie lat, a tak! Na samo wspomnienie lat tylu można zestarzéć.

Przeraziła się własnych słów swoich. Zestarzéć się! myśl ta śmiertelną trwogą przejmowała tę kobietę, nad wszystko w świecie lękającą się starości.

„Zmieniłeś się pan bardzo, bardzo, daleko więcéj odemnie, rzekła wpatrując się w niego; mało co przypominasz owego wysmukłego, jasno-włosego młodzieńca którego kiedyś znałam w Toronto, a jednak gdzie bądź zobaczywszy, poznałabym pana od razu. Czy nie zechcesz pan usiąść?

— Dziękuję, odrzekł łagodnie i poważnie, nie będę pani długo czasu zabierać. Wczoraj wieczór zobaczyłem ją po raz pierwszy, od czasu naszego rozstania się w Kwebeku.

— A widok ten przeraził pana jakby uderzenie gromu; wszak prawda? rzekła wesoło.

— Rzeczywiście, odpowiedział poważnie, gdyż byłem przekonany że pani nie żyjesz.

— A! tak, skutkiem owego wypadku na kolei; straszna to była katastrofa! Tak, blizką byłam śmierci, iż nawet nie mogłam się spodziewać że jéj uniknę, jednak inaczéj się stało, i, dzięki niebu, żyję.

I patrzyła na niego z czelnym na ustach uśmiechem; oczy jéj ponurym płonęły ogniem.

„Żyję! powtórzyła, i moja obecność niweczy całą przyszłość pana, podobnie jak sam złamałeś moją owego wieczoru.

Wskazała na obraz, a oczy jéj zdradzały szatańską radość z dokonanéj zemsty, jaką uczuwało jéj serce.

„Owego wieczoru nie miałeś żadnéj litości nademną, Gordonie Caryll, i pamiętasz zapewnie że poprzysięgłam ci zemstę... Lata mijały, żyliśmy zdala od siebie, i brakło mi sposobności do téj upragnionéj zemsty. Jednak nie przebaczyłam dotąd i nie przebaczę ci nigdy. Nareszcie spotykamy się oboje, i nie potrzebuję szukać sposobności, już to samo że żyję straszną stanowi zemstę, bo rozłącza cię *z nią*... A! czujesz to i cierpisz nad tem... Pojąć tylko nie mogę po co dziś przyszedłeś do mnie — przyznam się wcale nie spodziewałam się tego zaszczytu.

— Przyszedłem aby przekonać się o tem co mi się zdawało niemożebnem... choć nie mogłem już prawie wątpić... a jednak...

— Jednak chciałeś pan raz jeszcze przekonać się naocznie. A więc tak, jestem Rozamunda Lovell, Rozamunda Caryll, dziewczyna którą poślubiłeś i złamałeś całe życie, jest temu lat siedmnaście. O! nie spoglądaj pan na mnie tak pogardliwie, mówię prawdę. Choć może ci się to dziwnem wydaje, wtedy miałam serce i kochałam cię, kochałam tak gorąco i namiętnie, że gdy opuściłeś mnie owego wieczoru, chciałam rzucić się w rzekę... Szczęściem było mi to niepodobnem... straciłam przytomność. Dziś mogę śmiać się gdy przypomnę sobie ową epokę i moją niedorzeczność. W lat trzydzieści pięć inaczéj zapatrujemy się na wszystko...

— Cóż ochroniło panią wówczas?

— Dziecię moje przyszło na świat we dwanaście godzin po naszem rozłączeniu. Czy powiedziano panu o tem w Kwebeku.

— Tak, ale dopiero w kilka lat późniéj. Dziecię to jest teraz przy pani.

— Zkąd pan wiesz o tem? zapytała żywo.

— Mniejsza o to, dość że wiem. Zapytywałaś pani po co przyszedłem, już to samo byłoby dostatecznem, że chciałem ją widziéć.

Zaśmiała się pogardliwie.

— I wyobrażasz pan sobie że zezwolę na to? O! od pierwszéj chwili przyjścia na świat tego dziecka, powiedziałam sobie że ona matce dopomoże się zemścić—i tak będzie, przysięgłam to sobie!

— Więc odmawiasz mi pani widzenia jéj?

— Odmawiam stanowczo. Przyjdzie godzina że zobaczysz ją pan i gorzko zabolejesz nad tem —pierwéj nie!

Wstał i zwrócił się ku drzwiom, zastąpiła mu drogę.

— Dla czegóż odchodzisz pan tak prędko? przecie nie widzieliśmy się lat tyle. Idź pan zresztą! teraz już nie słów ale czynów mi potrzeba, i zdaje mi się, Gordonie Caryll, że nadeszła tak dawno przezemnie upragniona sposobność. Panna Fanny Forrester ma być bardzo dumna i surowych zasad, tak mi przynajmniéj mówiono... Czy powiedziałeś jéj pan kto jest aktorka Felicya?

Nic nie odpowiedział, nie spojrzał nawet i wyszedł co prędzéj z woniejącego salonu aktorki, szczęśliwy prawie że może czystem odetchnąć powietrzem.

Rozdział XI.

Ranna wizyta.

Właśnie w godzinę późniéj, Fanny była w pokoju pani Caryll; stała przy oknie z rękami skrzyżowanemi na piersiach, i głęboko zamyślona, machinalnie patrzyła na bulwary. Twarz jéj zdradzała niepokój, niecierpliwość, oczekiwanie, gdyż od chwili jak wczoraj przed teatrem rozstała się z narzeczonym w sposób tak niezwykły, dotąd nie widziała go jeszcze. Czuje że musiało wydarzyć się coś złego czy przykrego, ale nie ma pojęcia coby to być mogło. Wczoraj wieczorem taką dziwną miał minę! a mowa jego zdradzała niezwykłe pomieszanie... i pożegnał ją tak nagle!...

Czyżby i on znał Felicyę? Uśmiechnęła się wzruszając ramionami; nie, nie zna jéj wcale, nawet wątpić o tem nie można, skoro powiedział to już tyle razy. Felicya może wywierać zgubny wpływ na takie słabe i zmienne istoty jak Eryk, ale na człowieka z charakterem tak silnym i stałym jaki posiada Gordon Caryll, nie zdoła sprawić innego wrażenia jak pierwsza lepsza piękność uliczna.

Ale dla czego nie przyszedł jeszcze?

Wczoraj, kiedy się już wszyscy rozeszli, ona czekała jeszcze długo w salonie, sądząc że jak zwykle przyjdzie jéj powiedziéć dobranoc; ale wrócił bardzo późno i udał się wprost do siebie, chociaż powinienby się domyśléć że czeka na niego, jak to czyniła zwykle.

Położyła się spać z uczuciem lekkiego niezadowolnienia z doznanego zawodu, ale nie była obraźliwa, i sądziła że nazajutrz przy śniadaniu wszystko się wyjaśni. Najpewniéj przechodził zamyślony koło drzwi salonu, i dla tego zapomniał tam wstąpić. Zresztą on jéj sam powie jutro dla czego nie przyszedł.

Wstała szczęśliwa i spokojna, z wesołą piosenką na ustach, nie przeczuwając nic z tego co miało wydrzéć jéj szczęście i zakrwawić serce.

Już czas zejść na śniadanie! Zbiegła szybko ze schodów; Gordon nie spóźnia się nigdy. Zawsze o téj godzinie siedzi już w swym fotelu i czyta gazetę. Dziś jednak ten fotel stał niezajęty i lady Dynely była jedyną jej towarzyszką.

„Czyby i Gordon stal się leniwym? odezwała się lady Dynely. Dotąd nie można go było posądzić o to; zawsze prawie wchodząc zastawałyśmy go na jego ulubionem miejscu. Eryk ma tu dziś być z żoną; jedziemy razem do Saint-Cloud, i rachowałam na to że Gordon towarzyszyć ci będzie, jeżeli więc nie wróci...

— Nie mam zamiaru wyjść dziś z domu, odpowiedziała Fanny, z wyrazem znużenia; te nieustające przechadzki muszą sprzykrzyć się w końcu. Pozostanę tu z babunią Caryll.

Nic prawie nie jadła przy śniadaniu, i zaledwie się skończyło poszła powiedziéć dzień dobry pani Caryll.

Gordon i tam się jeszcze nie pokazał. Pani Caryll odezwała się zaraz po przywitaniu:

„Dziś pierwszy raz dopiero Gordon nie wstąpił do mnie idąc na śniadanie, powiedziała z uśmiechem nie dobrze pokrywającym jéj niezadowolnienie. Zapewnie wyszedł, ale gdzie?

— Nie wiem, odpowiedziała Fanny trochę zaniepokojona; nie przyszedł na śniadanie.

— Nie przyszedł?

— Bardzo późno wrócił do domu, rzekła panna Forrester przybierając spokojny ton głosu; i pewnie teraz wynagradzając to sobie śpi tak długo. Zuzanno, odezwała się do wchodzącéj właśnie służącéj pani Caryll, może wiesz czy pan Caryll jest jeszcze u siebie.

— Norton, służący pana Caryll'a mówił mi że pan jego już od trzech godzin wyszedł z domu.

— Jest w tem coś dziwnego, pomyślała Fanny z wzrastającym niepokojem; co to znaczy? co się stało Gordonowi?

Była to trudna do rozwiązania zagadka.

Południe się zbliżało; Iza i Eryk przybyli. Eryk piękny jak zawsze, Iza blada, smutna, i milcząca. Sama tylko lady Dynely pojechała z nimi do Saint-Cloud.

„Chciałabym bardzo abyś z nami pojechała, rzekła do niéj Iza.

Zdawało się że biedna więdnąca lilijka odzyskiwała trochę życia, znajdując się obok energicznéj Fanny.

„Dziś nie mogę ci towarzyszyć, moja droga, odpowiedziała całując ją Fanny; nie można zostawiać babuni zupełnie saméj. Zresztą Saint-Cloud to dla mnie stare i trochę nudne dzieje. Zejdziemy się znów wszyscy przy obiedzie, a potem będziemy razem w teatrze Opery.

— Czy Iza zdołała przezwyciężyć twój opór potęgą swéj wymowy? zapytał Eryk zwracając się do Fanny. Nie? W takim razie, dodał śmiejąc się, próżno byłoby łudzić się nadzieją; jeżeli kobieta czegoś nie chce, to już nie chce stanowczo. Szkoda jednak że nie chcesz jechać, wycieczka nasza byłaby daleko przyjemniejszą. Wychodźmy, *madre*, śpiesz się, *sposa mia*. Do widzenia Fanny.

Odjechali, a Fanny odetchnęła swobodniéj. Gordon zapewnie wkrótce powróci, wszystko się wyjaśni, i będą mieli cały dzień tylko dla siebie.

Wróciła do pokoju pani Caryll, wzięła książkę, usiadła z nią przy oknie przez które mogła widzieć wszystkie wchodzące do domu osoby, i starała się czytać. Ale tyle osób się uwijało, tyle przejeżdżało powozów, że to ciągle odrywało jéj uwagę od książki.

Jakże ten ranek jest nieznośnie długi! Czy już nigdy nie przejdzie? Jedenasta, dwónasta, pierwsza! Może przyjdzie o drugiéj, na lunsz; wprawdzie nigdy prawie nie zasiada do lunszu, ale dziś przyjdzie zapewnie...

Jakież to słońce dziś jaskrawe i olśniewające, aż oczy bolą. Wstała rozdrażniona i spuściła roletę. Na ulicy odezwała się katarynka, gra znaną po-

wszechnie piosenkę, którą Felicya śpiewa na scenie. Chciałaby żeby ta muzyka umilkła jak najprędzéj; głowa ją boli od tego hałasu. Pani Caryll zdrzymnęła się na fotelu. Dźwięki katarynki wygrywającéj ciągle jedną piosenkę, zaczęły w końcu usypiać i pannę Forrester, ale kiedy właśnie sen zaczął sklejać jéj powieki, Zuzanna zapukała lekko do drzwi i weszła.

„Miss Fanny... miss Forrester...

Fanny otworzyła oczy dopiero po powtórnem zawezwaniu.

— W salonie czeka jakaś pani, ktora chce widzieć się z panią.

— Jakaś pani?

Serce Fanny zaczęło bić silniéj... ale to tylko jakaś pani.

— Zuzanno, rzekła niecierpliwie, czy pan Gordon nie wrócił jeszcze? Musi już być w swoim pokoju albo...

— Nie, pan Caryll jeszcze nie wrócił, tylko jakaś pani czeka w salonie.

— Któż to taki? Pokaż mi jéj bilet. Nie jestem ubrana, nie przyjmuję nikogo.

— Nie chciała powiedzieć nazwiska, i nie oddała biletu. Powiada że potrzebuje widzieć się z panną Forrester w bardzo ważnym interesie.

— W bardzo ważnym interesie, powtórzyła Fanny wstając z krzesła.

Serce jéj znów zaczęło bić silniéj. Byłożby to coś dotyczącego się Gordona?

— Powiadasz Zuzanno, że ta pani czeka w salonie? Zejdę tam natychmiast.

Wyszła. W wielkim sali okna były zasłonięte żaluzyami, przepuszczającemi tylko słabe światło a na drugim jego końcu rysowała się postać siedzącéj tam kobiety.

Ubiór téj kobiety był wykwintny, bardzo nawet wykwintny, a twarz przysłonięta gęstą koronkową woalką.

„Pani życzyła sobie widzieć się ze mną? odezwała się grzecznie Fanny, usiłując odgadnąć kto może być ta zawoalowana dama.

Nieznajoma powstała.

„Panna Forrester?... rzekła pytającym tonem.

Fanny skinęła twierdząco głową.

„Pani życzyła sobie widzieć się ze mną w jakimś ważnym interesie?

Nieznajoma w miejsce odpowiedzi odsłoniła spokojnie woalkę, i stanęła na przeciwko panny Forrester. Fanny zobaczyła teraz twarz prawdziwie piękną i już jéj znaną, chociaż nie mogła sobie przypomnieć gdzie ją widziała. Krótko to jednak trwało, i po chwili zawołała:

„Pani Felicya.

— Tak, pani Felicya, powtórzyła aktorka ze zręcznym teatralnym ukłonem i zimno szyderczym uśmiechem. Teraz już pani wie dla czego nie powiedziałam mego nazwiska. Byłaby mnie pani nie przyjęła.

Panna Forrester ochłonęła już ze zdziwienia, czyli raczéj była jeszcze bardzo zdumioną i zaciekawioną, ale potrafiła to ukryć i okazać się spokojną i grzeczną.

„Myli się pani, rzekła z zimną grzecznością, byłabym panią przyjęła. Czy mogę zapytać czemu zawdzięczam tak niespodzianą wizytę?

Usiadła zdala od Felicyi, przy oknie, i spojrzała na zegarek, dając jéj tem do zrozumienia aby nie przedłużała swéj wizyty. Zrozumiała to Felicya; ironiczny uśmiech przesunął się po jéj ustach, a oczy (oczy kocie, pomyślała Fanny) zabłysły wyrazem tryumfu.

— Nie będę pani nudzić długo, a nawet sądzę że to co powiem nie może wydać się pani nudnem. Czy mi wolno zapytać czy pani widziała dziś pana Gordona Caryll? Chociaż wiem z pewnością że nie.

Serce Fanny uderzyło silniéj. Więc to jest coś takiego co dotycze Gordona. Pobladła lekko, i musiała powstrzymać się chwilkę z odpowiedzią aby jéj głos nie zadrżał.

— A czy mnie także wolno zapytać, odezwała się dumnie, co to panią obchodzić może?

— Obchodzi mnie to więcéj i bliżéj niż pani sądzić może, jak wkrótce to wyjaśnię. Wiem że go pani nie widziała dziś jeszcze, bo inaczéj nie byłaby tu pani obecnie ze mną. Byłam pewną że przybędę tu pierwéj niż on, i nie omyliłam się; wiedziałam że nie będzie miał odwagi przyjść do pani wprost odemnie.

Krew uderzyła do twarzy Fanny i zabarwiła silnie jéj policzki i czoło.

— Od pani do mnie...

W salonie znajdował się wielki wazon rozkwitłego jaśminu, i stał właśnie za krzesłem Fanny. Czy to silna woń tych kwiatów tak szkodliwie działa na nią, że czuje się blizką zemdlenia?

— Od pani do mnie? powtórzyła głośno nie rozumiem pani.

— Jestem tego pewną że pani mnie nie rozumie. Nie mogła pani widzieć dziś pana Caryll, ponieważ on był u mnie. Wyszedł odemnie więcéj jak godzinę temu, i ubrałam się zaraz aby przyjść do pani. Chciałam aby pani dowiedziała się o wszystkiem nie tylko od niego ale i odemnie, nie życzę sobie aby pani powzięła o mnie gorsze wyobrażenie niżeli na nie zasługuję. Widziałam panią wczoraj w loży; widywałam panią często zeszłéj wiosny w Londynie. Wydałaś mi się pani dobrą, mężną, szlachetną, a chociaż przypisuję mało wagi do opinii świata w ogóle, a w szczególe do opinii kobiet, pragnę aby pani miała o mnie nie zupełnie złe wyobrażenie. Byłam pewną że go tu wyprzedzę; mężczyźni nie spieszą się z udzieleniem takich wiadomości jak te które on będzie musiał pani powiedzieć.

O! ta zabójcza woń jaśminu.

O! te straszne zgrzytanie katarynki, któréj przeraźliwe dźwięki zdają się przenikać aż do jej mózgu i tak straszny zamęt sprawiają w jéj głowie. Przez chwilę Fanny czuła się tak odurzoną i tak cierpiącą że słowa przemówić nie mogła.

Przestraszona tem Felicya wstała.

— Pani jesteś cierpiącą, panno Forrester?

Fanny skinęła na nią ręką aby pozostała na swojem miejscu.

— To nic, rzekła zaledwie dosłyszanym głosem; przestraszyła mnie pani... ale to już przeszło... Niech pani mówi daléj.

Zapanowała nad sobą wysiłkiem woli, wyprostowała się na krześle, i zakrzyżowała ręce na piersiach.

— Mów pani daléj, rzekła pewnym już głosem, patrząc w oczy Felicyi.

Szyderczy uśmiech i wyraz tryumfu zniknął z twarzy pięknéj baletniczki, miejsce ich zajęło coś podobnego do wyrazu litości. Bądź co bądź ta kobieta będzie cierpieć tak jak ona kiedyś cierpiała, a dotąd pamięta jeszcze co to jest cierpieć podobnie.

— Panno Forrester, odezwała się poważnie, czy pani nie dostrzegła czegoś niezwykłego w spojrzeniu obejściu, w wyrazie twarzy pana Caryll'a, kiedy zobaczył mnie wczoraj na scenie teatru *Nouveautes*?

Czy dostrzegła śmiertelną bladość jego twarzy, zmieniony dźwięk głosu i nagłe oddalenie się; o tak ale nie wiedziała co było tego powodem.

— Mów pani daléj, powiedziała głośno.

— Pozwól mi pani zadać jedno jeszcze pytanie. Wszak pani ma zostać żoną pana Gordona Caryll?

— Tak.

Odpowiedziała pomimowolnie na to pytanie. Nawet w obecnéj chwili czuje całą dziwaczność położenia. Czyż to rzeczywiście nie jest śmieszną rzeczą, że ona, Fanny Forrester, odpowiada na wszystkie pytania które jéj zadaje ta kobieta.

— A więc dzieje życia jego muszą być pani znane? Musi pani wiedzieć że miał żonę z którą się rozwiódł. Sądzi pani równie jak wszyscy że jest wdowcem.

— Tak, odpowiedziała Fanny machinalnie, jest wdowcem.

— Nie, on nie jest wdowcem... zawołała Felicya, a oczy jéj zabłyszczały złowrogim blaskiem. Sądził że ja nie żyję, że zostałam zabitą w czasie wypadku na kolei, ale tak nie było. Przez siedemnaście lat nie spotkaliśmy się z sobą, wczoraj zobaczyliśmy się po raz pierwszy. Panno Forrester, jestem żoną Gordona Caryll.

— Jego żoną...

Fanny już pierwéj domyśliła się tego.

Jego żoną... jego żoną...

Nie umiała sobie zdać sprawy z cierpienia dotkliwego, strasznego, przeszywającego jéj serce, otrętwiającego umysł, pragnęła tylko aby ta nieznośna katarynka grać przestała, aby została uwolnioną od téj zabójczéj woni jaśminu.

— Widzę że mnie pani nie zrozumiała, panno Forrester, odezwała się cierpko Felicya. Powtarzam więc że jestem rozwiedzioną małżonką Gordona Caryll.

— Rozumiem, odpowiedziała jakby przez sen Fanny. Mów pani daléj.

— Więc to dla pani zupełnie obojętne? zawołała Felicya ostrzejszym jeszcze tonem. Czy pani chciałaby zaślubić człowieka rozwiedzionego, pomimo że jego żona jeszcze żyje.

— Nie; mów pani dalej.

Nastąpiła chwila milczenia. Widocznie spokojność panny Forrester wprawiała w kłopot Felicyę. Co do Fanny, ta czuła tyle tylko że na nią spada jakieś straszne cierpienie, ale obecnie nie umiała sobie zdać sprawy z tego co czuje, była zupełnie odurzona; słyszała dźwięk katarynki, patrzyła na smugi słońca przedzierającego się przez żaluzie i padającego na dywan zaścielający posadzkę, i oddychała wonią jaśminu. Do ostatniego dnia życia nie będzie mogła znieść widoku i zapachu tego kwiatu.

Rozdział XII.

Pani Gordon Caryll.

„Mów pani daléj, odezwała się znów Fanny jakby usta jéj nie były już zdolne wymówić nic nad te trzy wyrazy, i Felicya rozdrażniona spokojem swéj słuchaczki, rzekła jeszcze ostrzejszym tonem.

— Poznał mnie dopiero wczoraj w teatrze, ale ja poznałam go już dawno; jeszcze w tym dniu kiedy zobaczyłam w Akademii jego obraz *Zmrok*. Musiał mnie wczoraj poznać od pierwszego spojrzenia, bo utrzymują że nie zmieniłam się prawie weale.

I znów nastąpiło milczenie w ciągu którego Felicya nie spuszczała oczu z panny Forrester, ta zaś patrzyła ciągle na smugi słońca padające na dywan.

— Czy to udanie czy téż brak serca? pomyślała aktorka. Nie, nie zdaję mi się; tylko wszystkie wielkie panie są pod tym względem podobne do sie-

bie, i lubią naśladować niewzruszoność czerwonoskórych Indyan, zachowujących obojętność nawet w obec nieochybnéj śmierci. Sądzę, dodała głośno z wymuszonym śmiechem, że dzisiejszéj nocy musiał miéć sen trochę niespokojny; znać to było nawet dziś rano kiedy przyszedł do mnie.

Panna Forrester spojrzała na Felicyę.

— W jakim celu był u pani? zapytała.

— Sądzę że najprzód i nadewszystko, aby pozyskać zupełną pewność, a następnie ponieważ wiedział że córka jego jest przy mnie i że chciał ją zobaczyć.

Fanny doznała takiego uczucia jak gdyby ktoś rozpalone żelazo zagłębił w jéj serce. Jego córka! Tak, ta kobieta była jego żoną, i jest matką jego dziecięcia.

— I pani pozwoliłaś mu ją zobaczyć?

— Nie, nie pozwoliłam, nie jestem tak szaloną; powiedziałam mu tylko że pozna ją kiedyś na swoje nieszczęście. Ona do mnie należy i nie oddam mu jéj. Mógł mi odebrać swoje nazwisko, ale nie może mi zabrać swego dziecka.

Zamilkła; odcień litości zniknął z jéj twarzy, która teraz przybrała wyraz ostry i nielitościwy.

— Wyrządził mi tyle złego ile tylko mógł wyrządzić; kochałam go a on mnie porzucił, odtrącił od siebie z pogardą i nienawiścią. Przysięgłam że się zemszczę; ale cóż może uczynić kobieta, nawet zła kobieta?... Panno Forrester powiedziała z błyszczącemi oczyma i podniesionym głosem, przyznaję że zaślubiając mnie był ofiarą oszukaństwa... nikczemnego podstępu, bo nie byłam córką majora Lovell, nie byłam żoną odpowiednią dla takiego jak on człowieka. Byłam śpiewaczką w jednéj z najniższego rzędu kawiarni w Nowym Yorku; będąc dzieckiem jeszcze błąkałam się już po ulicach pozbawiona wszelkiéj opieki; musiałam zarabiać na życie, zdobywać każdy kawałek chleba dla zaspokojenia głodu. Nie znałam nigdy matki ani ojca, i byłam przekonaną że jedynym celem życia jest zarabiać jakim bądź sposobem pieniądze, i miéć piękne suknie. Lovell zjawił się i wziął mnie do siebie, tam zobaczył mnie, pokochał i zaślubił Gordon Caryll, nie zadając mi żadnych pytań. Kochałam go tak namiętnie, że przez tę miłość dla niego mogłabym była zostać oczyszczoną i odrodzoną zupełnie, gdyby był na to pozwolił. Nawet myślą nie złamałam mu wierności, i byłabym chętnie dla niego poświęciła życia. W pięć miesięcy po naszym ślubie Lovell umarł, i przed skonaniem wyznał wszystko Gordonowi. Uciekłam i skryłam się aby uniknąć pierwszych wybuchów jego gniewu; wiedziałam że byłby mnie zabił gdyby zobaczył mnie wtenczas. Znalazł mnie w kilka miesięcy późniéj i obszedł się ze mną tak pogardliwie jak gdybym była jakimś nikczemnym gadem, którego nie warto nawet odtrącić nogą; pokazał mi wyrok rozwodowy i opuścił na zawsze. Panno Forrester, byłam wtenczas tak szaloną, że kiedy odszedł upadłam jak martwa na piasek. Dla niego i dla pani byłoby lepiéj gdybym była umarła wtenczas, dodała z szyderskim śmiechem; ale przyszłam do siebie i żyję dotąd.

Umilkła, i spojrzawszy w oczy Fanny dostrzegła w nich tylko wyraz szczeréj litości.

— Biedna kobieto! rzekła Fanny łagodnie, kochałaś go i byłaś jego żoną, jakże strasznie musiałaś cierpiéć.

Felicya wzruszyła ramionami.

— Przeżyłam to jednak jak pani widzi. Ludzie umierają, bo takie ich przeznaczenie, ale miłość ich nie zabija. Następnéj nocy dziecko moje przyszło na świat. Oto cała historya zapewnie nie raz już ją pani słyszała. Pan Caryll jest rozwiedzionym, nie mogę więc przeszkodzić jego ożenieniu się z panią; wolno także pani postąpić w tym razie stosownie do swego uznania; ale uważałam sobie za obowiązek powiedzieć to pani.

Mówiąc to powstała; Fanny podniosła się także i postąpiła ku niéj.

— Czy pani kocha go jeszcze? rzekła patrząc na nią z wyrazem zadziwienia.

Felicya wybuchła śmiechem.

— Czy go kocham? Doprawdy, wiele już lat upłynęło od tego czasu w którym rozumiałam znaczenie tego słowa. Tylko szaleńcy kochają zawsze, a ja nie jestem szaloną, panno Forrester. Nienawidzę go więcéj niż... niż... nie umiem nawet znaleźć porównania. Mało byłoby powiedzieć niż szatana, bo szatan nie wyrządził mi nic złego, i podobne uczucie z méj strony względem niego byłoby nawet dziwnem. Pożegnałam się z miłością na zawsze, od chwili gdy on mnie opuścił nad brzegami małéj rzeki Kwebeku. Mam za miesiąc zaślubić księcia Venturini, ale iść za mąż a kochać to zupełnie co innego.

— Czy on wie o tem, zapytała Fanny.

— Pan di Venturini? Nie, i nie dowie się nigdy jeżeli zdołam temu przeszkodzić. Pan Caryll nie powie mu tego, ani też ja, z pewnością.

Odeszła, ale zatrzymała się jeszcze przy drzwiach.

— Czy pani gniewa się na mnie za to że tu przyszłam? zapytała się nagle.

— Czy się gniewam? powtórzyła Fanny jakby przez sen. Nie, za cóż miałabym się gniewać?

Tak, nie gniewała się na nikogo, tylko czuła się chorą, znużoną, pozbawioną siły; pragnęła być w swoim pokoju zupełnie sama; pozapuszczać firanki i zamknąć okiennice aby było zupełnie ciemno, aby mogła nie słyszéć téj nieznośnéj katarynki, nie widziéć olśniewającego blasku słońca i nie czuć odurzającéj woni kwiatów. Ale nie gniewała się na nikogo. W oczach Felicyi zabłysnął znów wyraz politowania.

— Szczerze nad panią ubolewam, rzekła, zdajesz się być dobrą, uprzejmą, zasługujesz na to abyś była szczęśliwą.

Po tych słowach wyszła, na schodach dał się słyszéć szelest jéj sukni jedwabnéj i Fanny pozostała sama.

Wsparła ręce na stole, ukryła twarz w dłoniach, westchnęła boleśnie. Wszystko już się skończyło; żona Gordona odeszła i uniosła z sobą szczęście całego jéj życia.

Żona Gordona! Jakże to boleśnie brzmiało w jéj uszach! Ona miała nią zostać, ale teraz nie zostanie już nigdy... Będzie tylko jakby wdową po nim, jak gdyby zakończył już życie. Zdaje się jéj że serce w niéj zamiera, nie czuje w niem dotkliwego bólu, i dziwi się sama swemu otrętwieniu.

Katarynka zaczęła grać coś innego. Nie może tego znieść dłużéj; wstała i chwiejąc się poszła wolno do siebie. Weszła do swego pokoju, zasunęła firanki, rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszki.

Żona Gordona... żona Gordona... Te słowa ciągle, bezprzestannie brzmiały jéj w uszach na nótę piosenki którą przed chwilą wygrywała katarynka. W końcu jednak zaczęły odzywać się co raz ciszéj, ciszéj aż zupełnie ustały. Fanny, pomimo gnębiącéj ją boleści zasnęła głęboko.

Rozdział XIII.

Rozłączenie.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca przedzierały się przez zasłonięte firanki tworząc na dywanie złociste wstęgi, kiedy Fanny otworzyła oczy. Obudziło ją poczucie dręczącéj ją boleści, które odezwało się w niéj nagle i gwałtownie. Przechodząc ze snu do czuwania, myśl jéj ciągnęła daléj rozpoczętą pracę, któréj spoczynek nawet nie przerwał. Żona Caryll'a żyje, a więc ona nigdy nie zostanie jego żoną. Musi go się wyrzec na zawsze. Na tę myśl straszna opanowała ją rozpacz.

„Ja nie mogę, nie zdołam tego uczynić! wykrzyknęła załamując ręce. O! mój Boże! ja się go wyrzec nie potrafię!

Po tych słowach potok łez spłynął po jéj twarzy przynosząc pewną ulgę przynajmniéj fizycznemu jéj cierpieniu. Płakała długo, płakała tak gorzkiemi łzami, jakie tylko straszna boleść może wycisnąć z oczu.

Promienie słońca bladły, znikały powoli; jeszcze kilka minut, a w pokoju będzie zupełnie ciemno; powoli także uspakajała się straszna burza szalejąca w sercu Fanny, i objawiająca się na zewnątrz spazmatycznem łkaniem; była zbyt gwałtowną aby mogła trwać długo. Kiedy już łzy przestały płynąć z jéj oczu, uklękła przy łóżku, szukając siły do zniesienia przygniatającego ją nieszczęścia, tam gdzie jedynie znaléźć ją można... w modlitwie.

„Zbawicielu świata, Ty który sam przecierpiałeś tak wiele, dodaj mi mocy do zniesienia cierpień moich“ wołała.

Nie pomyślała nawet o tem że Gordon był wolnym, że prawo dozwalało jéj zostać jego żoną, że w oczach świata nie uczyniłaby nic nagannego. Matka jéj, Francuzka, wychowała ją w religii nauczającéj że rozwód nie istnieje, że małżeństwo jest sakramentem zbyt wielkim i świętym aby go prawa ludzkie mogły unieważnić, sakramentem, w którym słowa: „Będziecie połączeni aż do śmierci,“ powinny być zrozumiane w najściślejszem swem znaczeniu. Żona jego żyje i nie przestanie być jego żoną nawet zostawszy księżną Venturini. Ona i Gordon nie powinni się widywać nawet jako połączeni tylko węzłem przyjaźni. Przyjaźni? o! nie, nie potrafiliby poprzestać na niéj; muszą więc zobaczyć się raz jeszcze i pożegnać na zawsze.

I znów serce jéj ścisnęło się boleśnie i zapłakała rzewnie, ale już nie nad sobą tylko nad nim; nie była nigdy samolubną i nawet rozpacz nie potrafiła w niéj rozbudzić tego uczucia. Jakże wielką musi być jego boleść! Cierpiał już tak długo i tak ciężko za to szaleństwo młodości, czy miał cierpiéć aż do końca życia? Czy śmierć dopiero miała zakończyć jego pokutę. Tak pragnęła uczynić go szczęśliwym, i był szczęśliwym przez kilka miesięcy, a teraz ta okrutna konieczność rozłączenia się, pozbawia ich na zawsze nawet nadziei szczęścia.

Powstała nakoniec bezsilna i zbolała. Jakże ten ogromny hotel jest posępny; jaki ten pokój ponury i smutny! Przejęta trwogą odsunęła firanki, i szare światło wieczoru dostało się do pokoju. Już tak późno!... Może Gordon wrócił i czeka na nią sam jeden ze swą boleścią?...

(d. c. n.)

Opis do N-ru 36.

(*Dokończenie*).

N. 21—22. Sukienka princesse dla panienki lat 10—12.

Rycina 21 -- 22 przedstawiają przód i plecy sukienki princesse, zapinanej z tyłu, uszytej z kretonu i różniącej się tylko przybraniem. Przednia długość wynosi 68, tylna 88 cent., dolna szerokość 184, nie licząc w to szerokości naddanej wzdłuż przodów na cztery fałdy przepięte patkami po 3 centym. szerokiemi. Przybranie sukienki wskazują ryciny.

N. 23—24. Kaftanik negliżowy.

Jest formą niewcinaną z fałdą à la Vatteau, na którą naddaje się materyał środkiem nieprzecinanych pleców. Kaftanik taki włożony do suto garnirowanej spódnicy stanowi eleganckie ranne ubranie; model ryc. 23 był z batystu z przybraniem szmizetkowem z przodu ułożonem z wszywki haftowanej 2 cent szerokiej i z falbanki sfałdowanej w kontrafałdy. U dołu dana szeroka plisowana falbana z nagłówkiem, przysłonięta koronką nicianą 7 cent. szeroką; środkiem fałdy na plecach dana jest także wszywka. Rycina 24 wskazuje inny rodzaj przybrania.

N. 25. Spódnica z trenem. Krój na ark. Nr IX—X, Fig. 35—36.

Spódnica zapinana z tyłu na guziki, wszyta w podwójny okrągły pasek 11 cent. szeroki; przód i kliny boczne wszywają się gładko, tylny bryt c) ze skośnego brzegu podszyty listewką 6 centym. szeroką lekko nadmarszcza się przy wszyciu. Część d) stanowiąca tren składa się u góry w kontrafałdę 14 cent. szeroką, i łączy z brytem tylnym pod plisą 2 cent. szeroką.

N. 26. Spódnica z przypinanym trenem. Krój na arkuszu Fig. 36.

Uszyta jest podług miary spódnicy krótkiej z szerokim paskiem tak aby bez przypięcia trenu mogła być noszoną pod suknie krótkie, tylko w takim razie garnirunek widoczny przy przodzie, 12 cent. szeroki trzeba dać naokoło. Przybranie trenu składają plisowane 5 cent. szerokie falbanki, zakończone wązką walansjenką, zachodzące na siebie, a górna przystębnowana jest pliską. Fig. 36 wskazuje krój spódnicy z wypisaniem potrzebnych miar; przód i boki b) i c) wszyte są gładko w pasek a który na 8 cent. szerokości wchodzi pod bryt tylny e), u góry zaobrąbiony na 8 cent., w środku podszyty listewką do ściągania. Tren urządzony do przypinania składa się z dwóch brytów przykrojonych podług f), złączonych szwem w środku (brzegi środkowe skośne), brzegi boczne proste obrąbione na 6 cent. szerokości, w obrębach tych dane są dziurki do przypinania trenu na guziki przyszyte z boków na spódnicy.

N. 31. Serwetka podłużna. Deseń na ark. N. 24.

N. 32. Szmizetka kamizelkowa z kwadratowym wykrojem. Krój na arkuszu Nr V, Fig. 23—25.

Uszyta z perkalu w deseń mille-fleurs i ozdobiona wzdłuż przodów plisowaną gładką falbaneczką 3 centym. szeroką.

N. 33. Szmizetka kamizelkowa. Krój na arkuszu Nr VI Fig. 26—27.

Odrobiona z ciemnego i jasnego atłasu na podszewce ze sztywnego muślinu; deseń wyszyty ściegiem krzyżykowym, ciemnym jedwabiem na podłożeniu cieniutkiej kanwy. Guziczki złote, ogarnirowanie z crêpe-lisse 5 cent. szerokiego.

N. 34--36. Zakończenie do szarf, krawatów, rolet i t. p.

Szerokie i wspaniałe zakończenie do szarf, krawatek i t. p. składa się z pasów kratek ażurowych i frendzli wiązanej macramé. Ryciny 35 i 36 wskazują robotę kratek ażurowych, wzory frendzli znajdują się w dawniejszych N-rach Tygodnika a brak miejsca nie pozwala nam dać szczegółowego opisu.

N. 39. Stanik z baskiną i chusteczkowym kołnierzem.

Suknia ta odrobiona jest z satynki w pasy i z materyału przerabianego ażurowo i ozdobiona koronką 6 centym. szeroką; kołnierz wykładany 6 cent. szeroki, oszyty koronką spuszczoną w dwóch nafałdowanych końcach, podobny jest do zarzuconej chusteczki.

N. 43. Suknia z plisowaną spódnicą.

Satynka gładka i w deseń mille-fleurs służy za materyał na to ubranie. Vêtement krótko podpięte w rodzaju panier ma plecy odcięte w baskinę, z przodu zaś jest otwarte i dopełnione kamizelką z materyału gładkiego



N. 1—3. Ubranie dziecka lat 1—3. Krój ryc. 1 w N. 32. | N. 3. Sukienka z paletocikiem dla młodej panienki. | N. 4—5. Sukienka z vêtement dla dziewczynki lat 6—6. Krój patrz ryc. 35.

i takimż szalowym kołnierzem, z tyłu przedłużonym w ząb. Spódnica u góry gładka, niżej zaś ma dodane plisowanie 70 cent. szerokie, składane z brytów prostych. Fałdy utrzymują się za pomocą tasiemek podszytych w odstępie 30 i 52 cent. Plisy na spódnicy są 7 cent. szerokie, plisowanie przy vêtement liczy 3 cent.

N. 45. Suknia ze stanikiem z kamizelką.

Suknia z zielonawej satynki w rzucik mille-fleurs, ma kamizelkę bogato haftowaną białym jedwabiem, kołnierz, mankiety, i obłożenie przy tunice z blado niebieskiego atłasu. Kołnierz zakończony wypustką urządzony jest do przypinania; przybranie z koronki wskazuje rycina 45.

Opis do N. 37.

N. 1—2. Ubranie dla dzieci lat 1—3. Krój podług ryciny 1 w N. 32 Tygodnika Mód.

Taką sukienkę służącą zarówno dla chłopczyków i dla dziewczynek, odrobić można z wszelkich materyałów letnich lub wełnianych; pod długi stanik daje się podszewką, na której zwierzchni materyał układa się w kontrafałdy 5 cent. szerokie, od spodu zaszyte i płasko zaprasowane, których jest dwie z przodu i z tyłu. Spódniczka mająca 25 centym. długości a 120 obwodu ułożona jest w górze w 8 kontrafałd trochę głębszych jak w staniku. Luźno przewiązana szarfa ma 20 cent. szerokości a 150 długości. Rycina 1 przedstawia sukienkę wełnianą a rycina 2 sukienkę białą pikową naszytą pliskami 1 i pół cent. szerokiemi, z perkalu w centki kolorowe, z kolorowemi wypustkami ze sznureczkiem.

N. 3. Ubranie z paletocikiem dla panienki lat 10—14.

Suknia i paletocik odrobione z jednakowego beżu, a kołnierz, mankiety przy rękawach i kokardy z atłasu w rzucik. Okrągły słomkowy kapelusz ozdobiony sutą girlandą z kwiatów.

N. 4—5 i 35. Ubranie z vêtement dla dziewczynki lat 6—9.

Wszelkie materyały wełniane lub bawełniane, gładkie albo w rzucik, zarówno mogą być użyte na sukienkę, której spódniczka oszyta plisowaniem 8 centym. szerokiem, przyszywa się do vêtement na wcięciu stanu. Vêtement którego model i miary podane są na ryc. 35, garniruje się plisowaniem 5 centym. szerokiem z tego co sukienka materyału, albo z koronki, zapina z boku na haftki ukryte pod garnirunkiem i podpina w sposób na ryc. 4 i 5 wskazany. Kokardy z wstążki 5 cent. szerokiej.

N. 9—10. Serwetka dla dziecka ozdobiona wyszyciem krzyżowem.

W serwetce 30 cent. szerokiej a 45 długiej wrobiony jest fabrycznie pas kanwowy, na którym wyszywa się kolorem ponsowym deseń podany na ryc. 10. Frendzla i paski nad szlaczkiem, odrobione były fabrycznie.

N. 11. Sukienka dla dziecka lat 1—2. Krój podług ryc. 1 w N-rze 32.

Kwadratowo wycięty stanik kaszmirowej sukienki robi się na podszewce z miękiego żagnotu, przypuszcza w krajaniu na marszczki u dołu, i wszywa w pasek 3 centymetr. szeroki, do którego przyszywa się także spódniczkę prostą, w koło w równe fałdy ułożoną. Szarfa z materyi tego co sukienka koloru związana z tyłu na kokardę. Garnirunek stanowi sutasz odmiennego koloru naszyty kilka razy. Do sukienek ciemnych albo w kratę, ładniejsze będzie naszycie z wąziutkiej czarnej aksamitki.

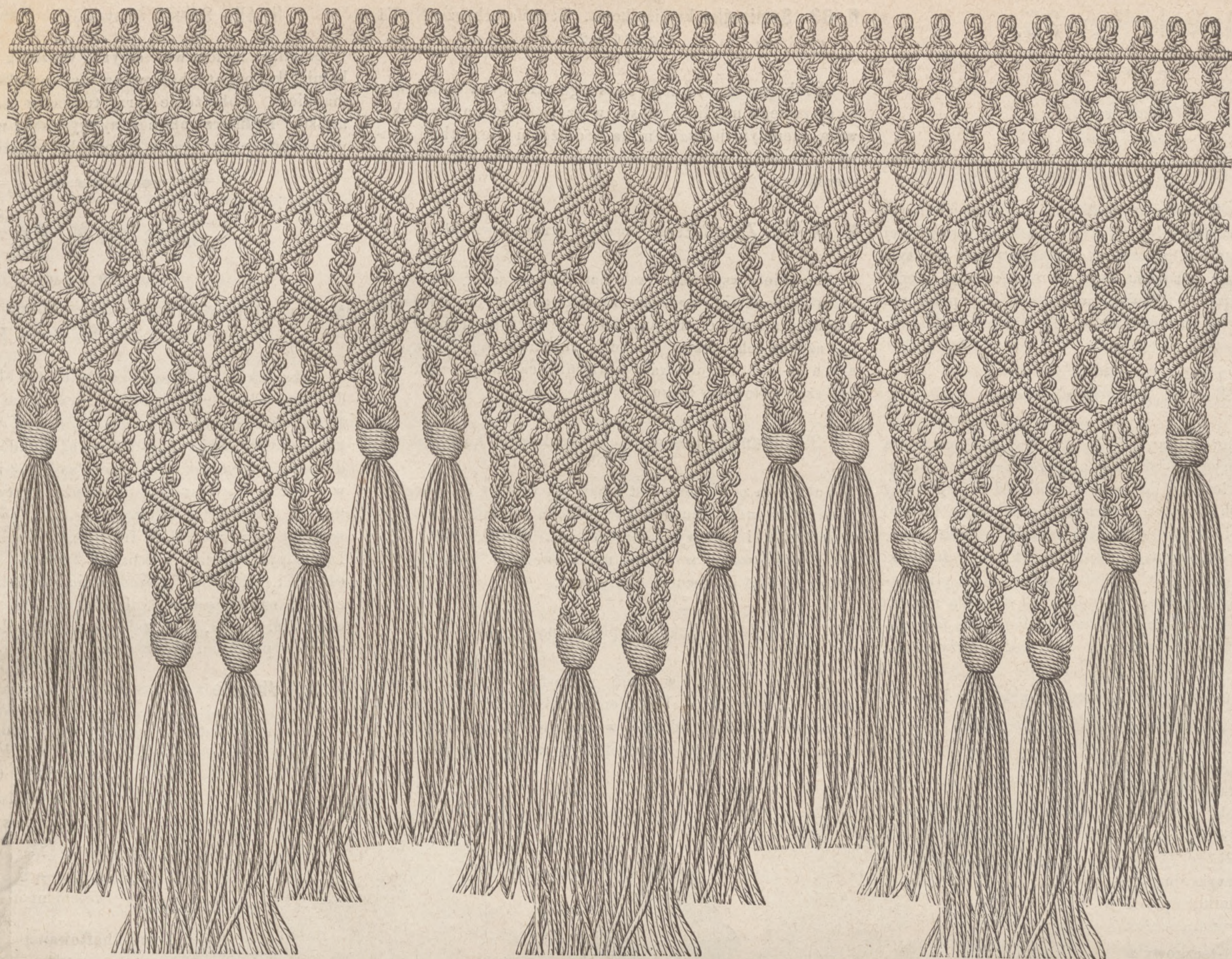
N. 12 i 6--8. Woreczek na robotę ozdobiony frendzlą macramé.

Woreczek z kolorowego atlasu podszyty muśli-



N. 7. Wiązanie pikotów w nagłówku frendzli ryc. 6.

nem, ma 14 cent. szerokości a 21 wysokości; na podwójną falbaneczkę przy nawleczeniu dodaje się 3 i pół cent. materyału. Sznury jedwabne do ściągania zakończone kokardami z wstążki w atłasie. Z wierzchu woreczek ozdobiony jest frendzlą macramé, wiązaną z kordonku jedwabnego lub nicianego koloru „écru.“ Model frendzli w naturalnej wielkości na rycinie. 6.



N. 6. Frendzla wiązana macramé do ryc. 12. Patrz rycina 7 — 8.

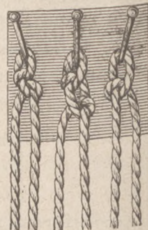
N. 13. Pantofel kąpielowy ozdobiony wyszyciem łańcuszkowem.

Pantofel służący nietylko do morskich lecz i do domowych kąpieli, szyje się w sposób na modelu wskazany z płótna mocnego szarego, wyszytego włóczką ponsową ściegiem łańcuszkowem. Podeszwa dobrana do wielkości nogi, jest pleciona z cienkiego szpagatu albo słomy i wyłożona w środku flanelą. Na przyszyciu pantofla do podeszwy dodane wyszycie z plecionego sznureczka albo plecionki niewarowej.

N. 14 -- 15. Pantofel ozdobiony wyszyciem gobelinowem.

N. 18—21. Serwetki i kieszonka do grzebieni.

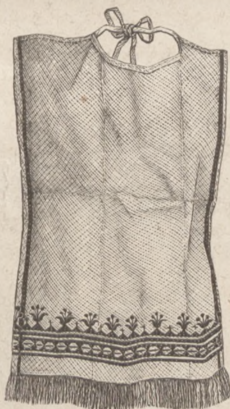
Ryc. 18 i 19 przedstawia serwetki trzymające 20 do 26 cent. w kwadrat, które mogą być fabrycznie wyrobione ze szlakiem kolorowym i frendzlą, albo obrąbkiem przyszytym kratką ażurową, lub też wy-



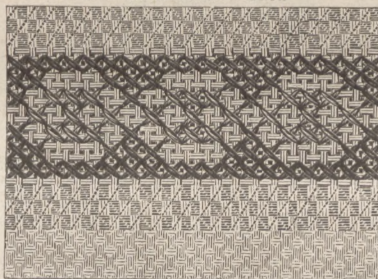
N. 8. Wiązanie pikotów brzeżnych w nagłówku frendzli ryc. 6.

szyte ręcznie bawełną kolorową podług próbek podanych w N-rze 38 na rycinie 14—16.

Na ryc. 20 i 21 podajemy kieszonkę na grzebienie zrobioną z dwóch serwetek trzymających 21 c. w kwadrat, tkanych fąbrycznie ze szlaczkiem niebieskim 2 cent. szerokim, na którym wyszywa się deseń podług próbki ryc. 16 w N. 38. Jedna serwetka stanowi wierzch druga podszewkę w której przestębnowane są w maszynie, przedziały na grzebienie. Brzegi serwetek obrąbionych kratką spaja się bawełną kolorową ściegiem rzadkim dzierganym, kieszonki urządza się w sposób wskazany na ryc. 21; do zapinania daje się dziurki i guziki. Zwiniętą kieszonkę przedstawia ryc. 21.



N. 9. Serwetka dla dziecka ozdobiona szlakiem.



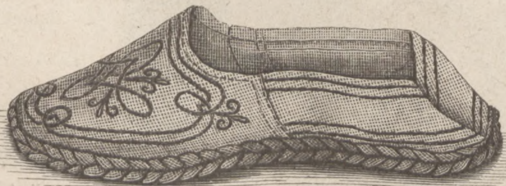
N. 10. Szlaczek krzyżykowy do serwetki ryc. 9.



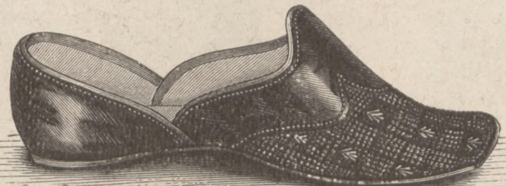
N. 12. Woreczek do robót z frendzlą macramé. Patrz r. 6—8.



N. 11. Sukieneczka fałdowana dla dziecka lat 1—2.



N. 13. Pantofel kąpielowy wyszyty łańcuszkiem.

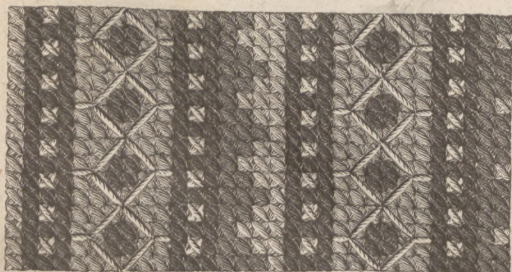


N. 14. Pantofel z haftem gobelinowym. Patrz ryc. 15.

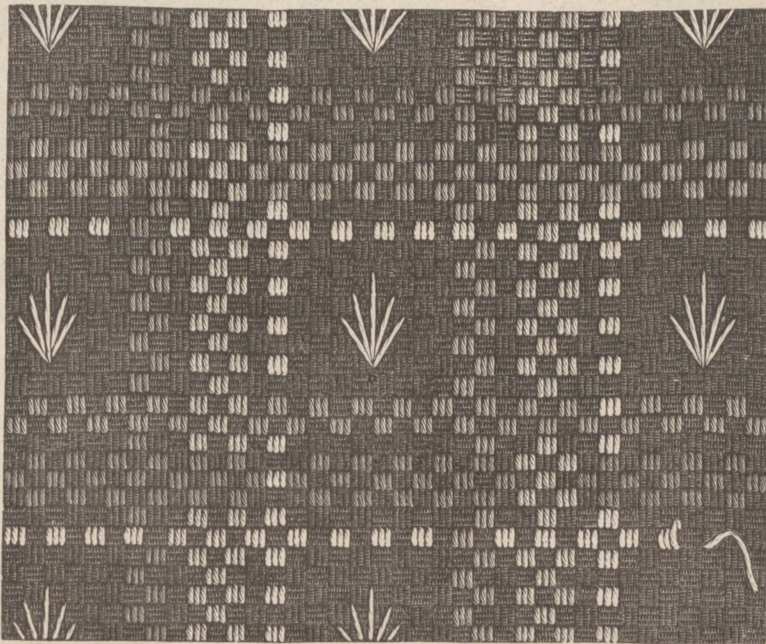
N. 22—24. Patarafka pod lampę. Haft kolorowy.

N. 25--26. Dwie dopasowane suknie w pudłach.

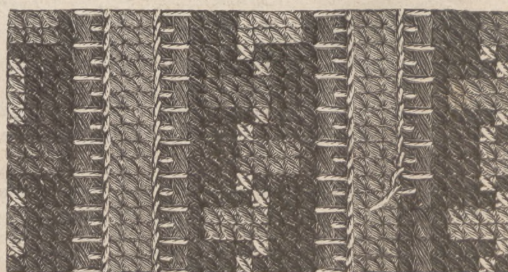
Dla osób robiących suknie w domu, dogodnym pomysłem są suknie już krajane, z dodaniem wszelkich potrzebnych ozdób: jak gotowe plisowania, szlaki, plisy, wypustki, guziki, kieszonki, kołnierze, mankiety i wycięta forma z bibułki, którą trzeba tylko podług figury dopasować. Ryc. 25 przedstawia suknię z kretonu gładkiego popielatego i w deseń mille-fleurs z wypustkami białemi, a ryc. 26 suknię z ciemno stalowego kaszmiru ozdobioną szlakami różno kolorowo haftowanemi ma-



N. 16. Wyszycie na kanwie ozdobione ściegiem luźnym, na pantofle, woreczki i t. p.



N. 15. Haft gobelinowy do pantofla ryc. 14. Naturalna wielkość deseniu.

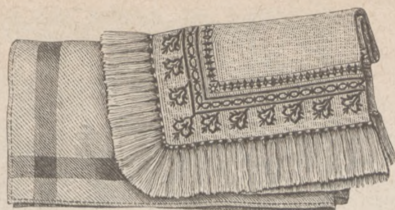


N. 17. Wyszycie na kanwie ozdobione ściegiem dzierganym.

szyną, na atłasie stalowym.

N. 27 — 28. **Dwa** żaboty chusteczkowe.

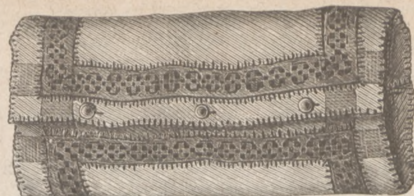
N. 27. **Żabot** z dwóch rodzajów wstążki i koronki bretońskiej. Koronka plisowana 8 cent. szeroka, układa się wachlarzowo na kawałku muślinu, w sposób wskazany na ryc. 27 i przyozdabia wstążką 3 cent. szeroką ponsową w atłasie na dwie strony i drugą w wązkie paski ponsowe aksamitne i orzechowe repsowe, przerabiane w kratki różnokolorowe. Fryzkę kolorową przyszywa się do paska muślinowego, przykrytego wstążką ponsową związaną z tyłu na kokardę z końcami.



N. 18--19. Ściereczki do grzebieni.



N. 22. Patarafka pod lampę. Patrz ryc. 23—24.

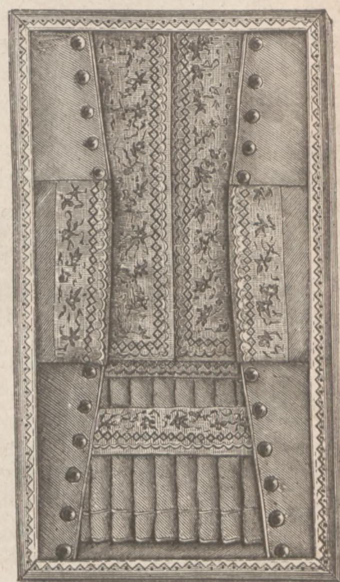


N. 20. Torebka na grzebienie. Patrz ryc. 21. Zamknięta.

piaskowej jedwabnej z różnokolorowym szlakiem, złożonej prosto przez środek we dwoje; dolna połowa była szeroką białą koronką oszyta i sfałdowana, górna przemarszczona skośnie w rogach i ułożona w dwa śpiczaste końce, a w środku w podwójny węzeł. Rycina 30 przedstawia chusteczkę białą batystową z jedwabnym kolorowym szlakiem, złożonej skośnie tak iż jeden róg większy wachlarzowo ułożony spada na dół, drugi stanowi kokardę, trzeci mniejszy koniuszczek z boku, a z czwartego przepięty jest węzeł.

N. 31—33. Kokarda do kołnierzyka z kanwy kongresowej, haftowanej „petit point“ i oszytej koronką.

Na taką kokardę potrzeba dwóch trójkątów kanwy, trzymających w prostych brzegach po 18 cent. długości, a na węzeł paska kanwy prostego 6 c. szerokiego, na których wyszyte są jedną nitką filozeli bronzowej i ponsowej, ściegiem „petit - point,“ na jednej nitce kanwy, gałązki pączków różanych a brzegi odziergane filozelą ponsową z jasnem przez środek przeszyciem. Na rycinie 33 podajemy próbkę innego wyszycia, ściegiem na dwie strony; brzegi zakończone są obrębem z kratką ażurową na rozsuniętych nitkach na obrąb podaje się kawałki kanwy od spodu ażeby brzegi mogły być



N. 26. Suknia przykrojona złożona w pudełku.

N. 25. Suknia przykrojona złożona w pudełku.

N. 27—28. Krezy z żabotami z koronki i wstążki.

N. 29. Żabot z chusteczki oszytej koronką.

N. 30. Żabot z chusteczki ze szlakiem.

N. 31. Kokarda z kanwy de kongres z haftem petit-point i koronką. Patrz ryc. 32 i 33.

N. 28. **Żabot** chusteczkowy z koronki i wstążki.

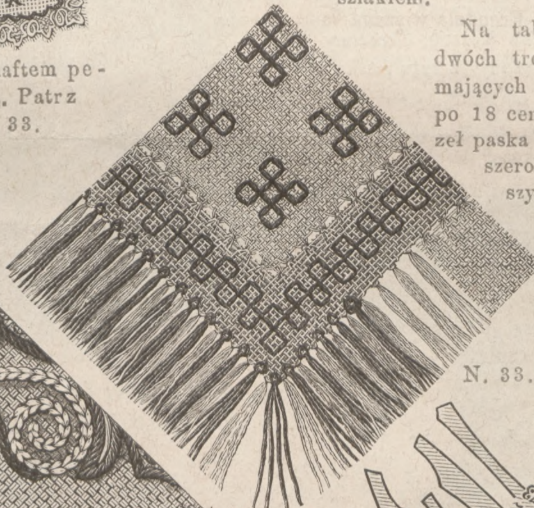
Szyję otacza pasek sztywnego tiulu u dołu ogarnirowany plisowaną i w fałdki układaną koronką 3 cent. szeroką. Żabot przeznaczony do podłużnego wykroju sukni stanowi w dwa rzędy szeroko wachlarzowo ułożona koronka na tiulu i sute upięcie z niebieskiej wstążki, zakończone wachlarzykami z koronki i czterema pukielkami.

N. 29—30. **Żaboty** z chusteczek.

Obiedwie kokardy ułożone są z kolorowoch chusteczek do nosa, trzymających 42 centym. w kwadrat. Model do ryciny 29 ułożony był z chusteczki jasno



N. 32. Część końca do kokardy ryc. 31.



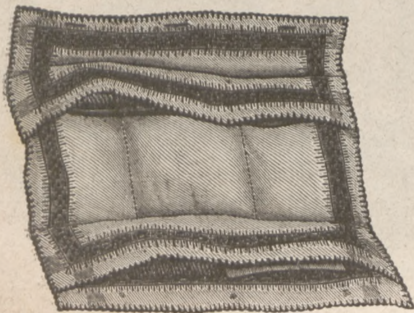
N. 33. Narożnik wyszyty na kanwie.

N. 34. Wskazanie kroju tuniki do ryciny 1 i 2 w N-rze 38.

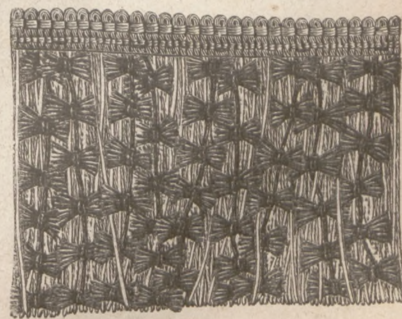
N. 35. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 4 i 5.



N. 23. Czwarta część deseniu na patarafkę ryc. 22.



N. 21. Torebka na grzebienie. Patrz ryc. 20. Otwarta.

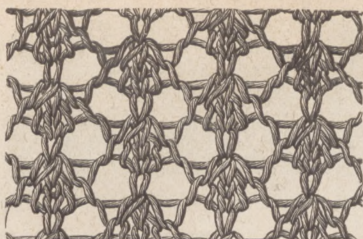


N. 24. Frendzla do patarafki ryc. 22.

siepane na frendzlę do której dowiązują się nitki kolorowej filozeli.

N. 36. Kapelusz czarny słomkowy do konnej jazdy.

Oprócz tak upowszechnionych wyższych i nizkich cylindrów filcowych używają także damy do konnej jazdy kapeluszy słomkowych, zalecających się większą lekkością. Rycina 36 przedstawia cienki czarny słomkowy kapelusz, którego forma najwłaściwsza jest przy amazonce. Główka okrągła 8 centymetrów wysoka przypomina żokejkę, a rondo z przodu 7 cent. szerokie zwężone jest do tyłu do 3 cent.; welonik gazowy 35 centym. szeroki, tego co amazonka koloru, okręcony jest koło główki i zawiązany z tyłu na kokardę z końcami.



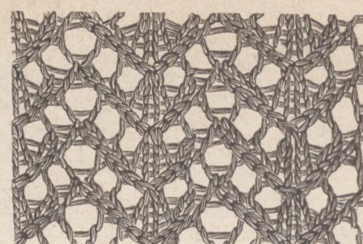
N. 37. Tło robione na drutach na chustki i t. p.



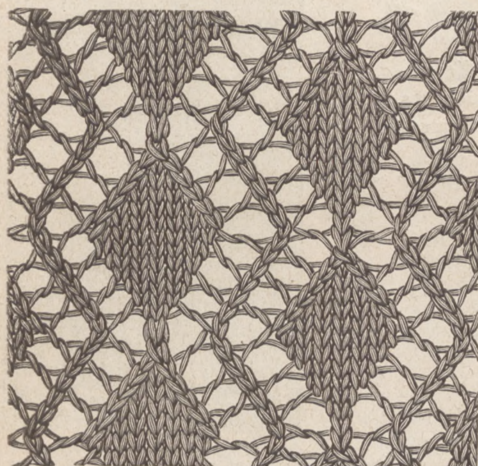
N. 36. Kapelusz do konnej jazdy.

N. 41—46. Chusteczki i mantylki włóczkowe robione w ramach.

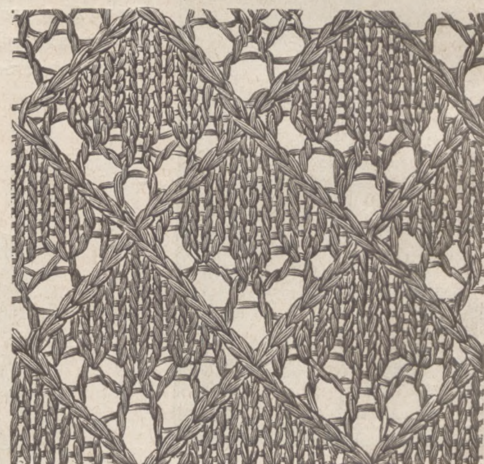
Jako zarzutki spacerowe lub do teatru, ciągle używane są różne chustki, peleryny lub mantylki zbliżone formą do wizytek, a robione szydełkiem, na drutach albo w ramach, z włóczki białej lub kolorowej. Ryc. 41—42 i 45—46 przedstawia chusteczki i mantylki robione w ramach z włóczki z dodaniem filozeli.



N. 38. Tło robione na drutach na chustki i t. p.



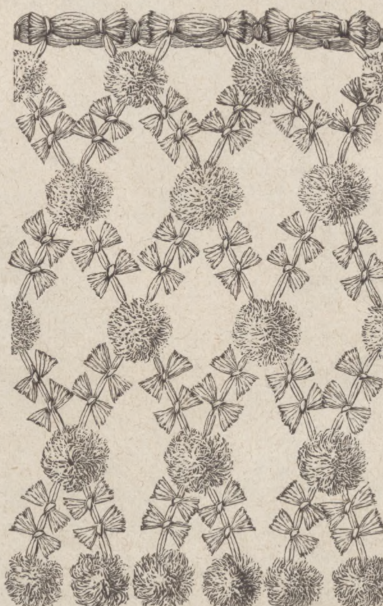
N. 39. Tło w skośne kwadraty robione na drutach.



N. 40. Tło w kwadraty robione na drutach.



N. 42—44. Modele chustek wełnianych.



N. 41. Frendzla wiązana w ramach do chustek i okryć włóczkowych.

N. 37 — 40. Próbki różnych ściegów robionych na drutach, na tła do chustek włóczkowych, spódnic i t. p.



N. 45. Okrycie formą pelerynki. Robota w ramach.



N. 46. Okrycie formą chustki. Robota w ramach.